Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 8 (1796) • 21–27 lutego 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
08
9 770867 223508

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 9557e356c8

WOJNA DOMOWA

W trzecią rocznicę wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej polska wojna domowa przeniosła się za granicę. Donald Tusk skoczył do Paryża na „nieformalny szczyt", gdzie zaprezentował się jako „nieugięty". Po pierwsze – jak doniósł portal Politico – był nieugięty w sprawie kochania Ameryki. Inni czują się przez Amerykę zdradzeni po tym, jak Trump zadzwonił do Putina, a chwilę później Marco Rubio spotkał się z Siergiejem Ławrowem – i ani Zełenski, ani Tusk nie zostali włączeni do towarzystwa. Drugie nieugięcie Tuska dotyczy tego, że nie wyśle polskich wojsk w charakterze sił pokojowych na Ukrainę, albowiem mamy już dość zasług dla pokoju (co akurat jest nieco zaskakujące). Donald Tusk ogłosił twardo: *Ani sondaże, ani podpowiedzi rozgorączkowanych komentatorów nie będą miały wpływu na moje decyzje w sprawach Ukrainy*. Absolutnie. I to nieugięcie nie ma kompletnie nic wspólnego z sondażami Rafała Trzaskowskiego.

Na marginesie: awantura o siły rozjemcze – które w odróżnieniu od Polski gotowe są wysłać Wielka Brytania i Francja – jest o tyle bez znaczenia, że Rosja już ogłosiła, ustami ministra Ławrowa, że żadne siły natowskie, również pod flagą europejską, nie zostaną przez nią zaakceptowane w ramach porozumienia pokojowego, bo ta wojna jest właśnie o to, żeby nie było NATO na Ukrainie. Nawiasem mówiąc, jest taka organizacja – może polscy politycy o niej słyszeli, nazywa się Organizacja Narodów Zjednoczonych – która dysponuje siłami zajmującymi się właśnie utrzymywaniem pokoju w strefach konfliktu. Jedynym, który wspomniał o ONZ w tym kontekście, a i to bez przekonania, był Adrian Zandberg. Co, jak zgadujemy, wynika z faktu, iż sekretarz generalny ONZ Antonio Guterres udał się w zeszłym roku do Rosji na szczyt BRICS i podał rękę Putinowi – wobec czego w oczach polskich patriotów 80 lat historii ONZ poszło się jebać.

À propos polskich patriotów: kiedy już myśleliśmy, że nic nas nie zaskoczy, histeria po spotkaniu sekretarza stanu USA z szefem MSZ Rosji osiągnęła całkiem nowe poziomy. Na gwiazdę tej batalii redakcja „NIE" nominuje szacownego skądinąd prof. Romana Kuźniara, który spotkanie szefów dyplomacji dwóch mocarstw atomowych opisał następującymi słowami: *Oto mały Marco Rubio, wbity pomiędzy dwóch starszych opiekunów, jak gdyby w podkolanówkach szedł do komunii, a po drugiej stronie ksiądz pedofil, czyli Siergiej Ławrow, już się oblizywał na niego*. Jest nam niewymownie przykro, że prof. Kuźniar do dziś nosi w sobie traumy z dzieciństwa, ale może należałoby powierzać je terapeucie, a nie TVN24?

Do Polski przyjechał doradca Trumpa gen. Kellogg, a także sekretarz obrony Pete Hegseth (znany głównie z tatuażu „Deus Veult" i innych pamiątek po krucjatach wypisanych na klacie). Kellogg spotkał się tylko z prezydentem Dudą, a krzyżowiec z wicepremierem Kosiniakiem-Kamyszem – i obydwaj czują się wyróżnieni. *Stronie amerykańskiej na tym zależało* – ogłosił minister Kolarski od Dudy i dodał szybciutko: *będzie to jedyne spotkanie, jakie generał Kellogg odbędzie w Europie z przywódcą państwa,* co stanowi *dowód na to, jakim szacunkiem cieszy się prezydent Andrzej Duda*. Z kolei Kosiniak-Kamysz rozwlekle opowiadał, że kiedy sekretarz *był w Niemczech i odwiedzał żołnierzy amerykańskich, tam nie było oficjalnego spotkania bilateralnego z ministrem obrony Niemiec, nie było towarzyszenia przedstawicieli obrony Niemiec na spotkaniach z żołnierzami amerykańskimi* – a tymczasem on, Kosiniak, miał okazję *być w Powidzu, rozmawiać cały czas z sekretarzem*. Zwierzchnik sił zbrojnych RP i minister obrony narodowej przekomarzają się, kto potrzymał za palec większego Amerykanina. A 4,7 proc. PKB stuka.

W duchu „murem za mundurem" Rafał Trzaskowski postanowił pochwalić się, że ma znajomych żołnierzy. Posadził ich przy bardzo szerokim stole i pieczołowicie odczytał stopnie, zasługi (*dowodził polskim kontyngentem wojskowym w Republice Czadu*), a także wszystkie odznaczenia, które udało się im zebrać. Jak już doszedł do Przepiórki z GROMU, było widać, że jedzie rozpaczliwcem. Do tego mówił przez nos i brzmiał jak wagarowicz, który udaje katar, żeby wytłumaczyć, dlaczego się wyłgał z kartkówki z fizyki. Mamy taką obawę, że kreowanie Bonżura na twardego wodza może się nie udać. Skończył skromnym zdaniem: *Człowiek, który chce sprawować funkcje państwowe, po prostu powinien otaczać się ludźmi mądrzejszymi od siebie*. W tej akurat sprawie trudno się nie zgodzić.

Z kolei Szymon Hołownia próbuje złapać nowy wiatr w żagle po tym, jak najnowszy sondaż dał mu jakoś tak jedną trzecią poparcia Mentzena. Otóż: *Sławomir Mentzen i jego frakcja jest zagrożeniem dla stabilności Rzeczypospolitej* i Hołownia zamierza *się temu zagrożeniu przeciwstawić*. Albowiem sytuacja w Europie jest *turbulentna,* wobec czego *Polska, będąca dzisiaj oazą stabilności i rozsądku, nie powinna ryzykować tego rodzaju eksperymentu* i dlatego Szymon jest zdeterminowany *zrobić dokładnie to, co Trzecia Droga zrobiła w 2023 r*. Jakby ktoś nie pamiętał, to do spółki z PSL dostała dwa razy tyle, co Konfa. Dramat polega na tym, że Szymon i inni „demokratyczni" kandydaci w tym wyścigu do kupy mają mniej niż Mentzen samodzielnie. Co oznacza, że w drugiej turze nikt się nie będzie łasił do Hołowni, Biejat czy Zandberga, za to zarówno Trzaskowski, jak i Nawrocki będą chcieli uwieść popieraczy Mentzena. Nie jest to z lewicowego punktu widzenia optymistyczna wizja.

AWŁ

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

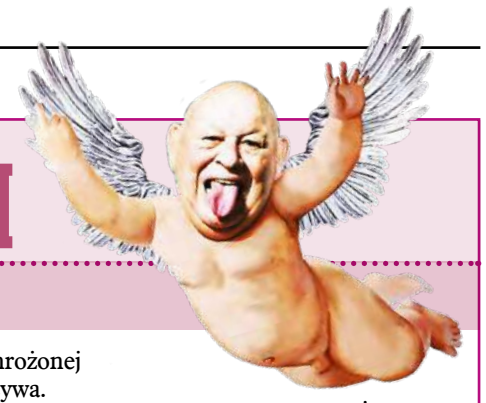

Luty 2013 r.

Świętej Jacqueliny

Liczba widzów moich filmowych komentarzy na YouTubie przekroczyła 4 000 000 (cztery miliony). Jest to wspaniałe osiągnięcie ekipy, ale i mój sukces aktorski przy tak późnym debiucie. 73 lata temu zostałem wyrzucony z radzieckiego przedszkola za robienie małpich min. Każdy sposób wyróżnienia siebie, także poprzez występek, dobrze służy w późniejszym życiu. Stolec również miałem dziś dobry.

Świetego Apollina

Moje hasło: Któraś matka Polka
Codziennie rodzi potworka.

Moja lektura: Od tygodnia delektuję się artykułem Piotra Lisiewicza w „Gazecie Polskiej" pt. „Ubecki rys w propagandzie III RP".

Cel artykułu: Przekonywanie, że prawicowo-radykalni antykomuniści nie są antysemitami.

Treść artykułu: dzieci i wnuki ubeków oraz innych aparatczyków PRL tworzą w III RP klasę uprzywilejowaną. Narodowcy pragną zniszczyć tę ich lepszą pozycję, bo jest „z ruskiego nadania". Polacy z dobrych domów są dyskryminowani.

Ubeckie pomioty opanowały media i stanowią bandę kłamców. Nie znaczy to – wyjaśnia autor – że zwolennicy teorii mordu smoleńskiego nie lubią Żydów. Dobry Żyd żyjący lub wzięty z literatury zieje polskością. Lisiewicz w imieniu sekty kocha Żydów będących polskimi nacjonalistami i publikuje ich listę: od Racheli z „Wesela" po Dawida Wildsteina z „Gazety Polskiej".

Red. Lisiewicz maluje obraz rzeczywistości, mając za modela swoje ideologiczne wyobrażenia i obsesje. Podobnie jak wszyscy fanatycy, nie dostrzega, że nikt jednak nie zbudował świata wedle potrzeb przez siebie wymyślonych. Nawet Bóg leży i kwiczy.

Świętego Amenda

Leszek Miller pobierał za młodu naukę bardzo niekompletnej historii PZPR. To uważam za przyczynę zaplątania się późniejszego premiera RP w aferę z więzieniem CIA i torturami. Kiejkuty nie było to pierwsze u nas tajne, stworzone poza prawem więzienie będące miejscem tortur. Poprzednie działało na przełomie lat 40. i 50. w Otwocku i miało kryptonim „Spacer". Więźniów tajnie aresztowanych kierowała do tej katowni trzyosobowa komisja najwyższych władz PZPR, w których Miller zasiadał trzydzieści kilka lat później. W związku z tym dziedzictwem powinien być szczególnie uczulony na skryte bezprawne więzienia i fizyczne znęcanie się nad ludźmi. Po 1956 r. władze, tak jak teraz Miller, ukrywały prawdę o „Spacerze", a związane z tym śledztwo i proces w 1957 r. były tajne, także tak jak teraz – ze względu na rację stanu państwa. Tusk rozumie ją w ten sam sposób co Gomułka. Piszę o kiepskiej wiedzy Millera, aby go jakoś osłonić przed ciosami senatora Józefa Piniora.

Świętego Armanda

Przez ostatnie trzy miesiące schudłem 6 kilo. Całej diety nie mogę rekomendować, gdyż jej nie pamiętam. Spisuję ostatnie 30 godzin.

Kolacja: tartinki z pumpernikla z ukraińskimi moskalikami oraz z sałem. Marynowany białym balsamico węgorz skłusowany w Bugu. Bez pieczywa. Setka wódki czystej Stanislav. Sorbet cytrynowy w kieliszkach z zamrożonej wody mineralnej bez pieczywa.

Pieczona kaczka z kluseczkami z sera i burakami bez pieczywa. 50 g wina. Makowiec od Buchmana z Konstancina zwany wielorybem – bez pieczywa, ale z herbatą Darjeeling. Po kolacji 200 g wódki.

Śniadanie: gruszka bez pieczywa, herbata tego samego gatunku co wczoraj.

Obiad: przegrzebki w sosie śmietanowo-prawdziwkowym z innymi dodatkami oraz z ryżowym makaronem niezbędnym do przewodzenia sosu. Bez pieczywa i alkoholu. Na deser makowiec od Buchmana i herbata bez pieczywa.

Na kolację dziki łosoś wędzony, bałtycki. Na nim sos chrzanowy, tj. chrzan zmieszany z jogurtem i przyprawami. Bez pieczywa. Siekana wątróbka po żydowsku. Odrobina chałki z masłem. 250 g wódki (0,25 l), łyżeczka konfitury z pomarańczy słodzona sokiem z winogron.

Potem spanie, głód, tęsknota za treściwym żarciem. Och, golonko! Dożeranie węgorza. Żona Daniszewska pilnuje mojej głodówki, sama żrąc jakieś smakołyki. Moja asceza wiedzie do chudości, a może także świętości.

Matki Boskiej z Lourdes

Byłem jawnym zwolennikiem cenzury. Ale od tego czasu minęły 23 lata i zdążyłem się od niej odzwyczaić.

Nigdy nie byłem zwolennikiem cenzury we własnej sprawie, a taką uruchomił poseł Kurski. Na swoje własne, a nie moje nieszczęście. Internet kipi z oburzenia na starania Kurskiego o wielkim zasięgu dla ochrony własnego tyłka. Jeśli zniechęci do siebie wyborców, będzie to jego, a nie moje dzieło. Życzę mu tej niechęci z całego serca.

Chiński Nowy Rok

Kurski sądownie zablokował artykuł w „NIE" o sobie i próbował zastraszyć wszystkie media, a nawet drukarnie i kolporterów, czego zakazuje prawo prasowe. Stosował pogróżki bezprawne zagrożone karą do trzech lat więzienia.

15 lat temu sąd tak jak teraz wydał redakcji „NIE" zakaz drukowania czegokolwiek o hotelu Bristol w Warszawie. Nie istniał ani taki artykuł, ani taki zamiar. Okazało się, że pewien kelner zagroził szefowi, ze pójdzie do „NIE" i opowie o stosunkach panujących wśród personelu. Dyrekcja wniosła więc do sądu o zakaz.

Zemściłem się. Fałszywy rabin z Ameryki zaproponował Bristolowi, że go ukoszerni, i aktorka z brodą chodziła po hotelu, odprawiając jakieś sztuczki. Dyrekcja była zachwycona, do chwili gdy rzekomy rabin usiadł w hallu, z auta przyniesiono mu niemowlę, a on wyjął pierś i zaczął nią karmić. Może Kurskiego obrzezam bez znieczulenia.

Od 15 lat sądowa cenzura jest piętnowana i wyszydzana, ale w niczym to jej nie szkodzi.

Świętego Klaudiusza

Zostałem przez sądy prawomocnie skazany za to, że napisałem, iż Jan Paweł II, będąc, co było widać, ledwo żywy, robi z siebie gwiazdorskie widowiska. Ratzinger przeczytał mój felieton w „NIE" i go sobie wziął do serca. Oto prawdziwa przyczyna ustąpienia Benedykta XVI. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Diecezja płocka** włączyła się w pomoc dla dzieci z Afryki z akcją „Kup Pan szczotkę". Wiadomo, Sahara sama się nie zamiecie.
- We Włoszech powstała pierwsza na świecie **infolinia egzorcystyczna.** Oj, czujemy, że zaraz demony zaczną wydzwaniać dla beki.
- **Donald Tusk** zapozował do zdjęcia w trakcie obierania ziemniaków. Teraz prawica będzie miała argument, że skrobanie to jego pasja.
- Jak informuje Watykan, **papież** cierpi na polimikrobiotyczną infekcję dróg oddechowych. To jest to samo co policystyczne jajniki, tylko wyżej.
- **Niedziela.pl** pyta, czy modlitwa na leżąco to jest grzech. O ile w trakcie nie trzepie się konia, to nie.
- **Franciszkanie** wprowadzili do sprzedaży 10-mililitrowe ampułki z wodą z groty w Lourdes. Woda ta nie posiada żadnych oznaczeń sanitarnych, więc na bank gwarantuje widzenia.

MARTA M.

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Szanowna redakcjo!

Dotyczy artykułu red. Bolesława K. Jaszczuka pt. „Żurabiszwili przerosła Dudę". To bardzo solidnie napisany tekst, ale jego podsumowanie jest dla mnie trochę dyskusyjne. Znalazło się tam zdanie: *perspektywa europejska interesuje ludzi (Gruzinów) bardziej niż spór wewnętrzny*. Myślę, że trzeba by na to spojrzeć inaczej. Obserwując migawki z demonstracji w Gruzji, na których obok flag gruzińskich powiewały flagi UE, przychodziły mi wspomnienia podobnych, jakie miały miejsce w Kijowie na Majdanie w 2014 r. Analogie i scenariusze są wręcz identyczne, władze tu i tam odraczają lub zawieszają negocjacje z UE i od razu wybuchają masowe protesty. Uważam, że UE jest już imperialną instytucją, która zawłaszcza sobie prawo do ingerowania w wewnętrzne sprawy innych narodów. Robi się to swoistego rodzaju przekupstwem, w imię wolności finansuje się proeuropejskie instytucje, mami ludzi dobrobytem, aby gdy potrzeba, można było ich użyć do wsparcia UE, a może i rozniecenia rozruchów. Nie jest możliwe, aby masowe protesty w Gruzji były organizowane bez wsparcia finansowego i organizacyjnego.

(...) Liderzy UE, nie mając własnej armii, ochoczo (...) poparli prezydenta Bidena prowokującego Rosję do wojny na Ukrainie. Przez trzy lata wojny ani razu nie słyszałem z ust tych przywódców słowa „pokój" czy jakiejś koncyliacji. Jedynie to sankcje, zwiększenie dostaw broni i pieniędzy na wojnę. W tekście red. Bolesława K. Jaszczuka też przebrzmiewa to, jakby UE i jej wartości były tym, czego ludzie pragną najbardziej. Kiedy obserwuję działania np. pani Ursuli von der Leyen, dla której imperialistyczne działania Izraela i USA Bidena są akceptowane i wspierane, mam wątpliwości, czy te wartości w ogóle istnieją,. Działania UE wpisują się w historyczny europejski imperializm, z tą różnicą, że wartości w przeszłości wymuszały armie. Dziś coraz śmielej podnosi się, by UE dysponowała armią, jej potrzebę uzasadnia się kryzysami, które wywołuje się, by uzasadnić taką potrzebę. Jako że dyżurnym zagrożeniem zawsze była Rosja, i tym razem też jest.

Z uszanowaniem
JERZY DRYZEK

eprasa.pl 9557e356c8

Wypisy z Rymkiewicza

O obrońcach naszych polskich granic…

W ostatnim raporcie Lekarzy Bez Granic o sytuacji na polsko-białoruskim pograniczu pisze się o 89 śmiertelnych ofiarach. Ale to tylko ci fizycznie policzeni – znani i nieznani z imienia i nazwiska. Statystyka obejmuje okres od 2021 r. aż po dzień dzisiejszy. Po polskiej stronie nieboszczyków miało być 42, po stronie białoruskiej – 47.

O tym, że od początku kryzysu humanitarnego na granicy polsko-białoruskiej tych nieboszczyków może być o wiele więcej, opowiedział jako pierwszy polski dezerter Emil Czeczko. Ten szeregowiec 11. Mazurskiego Pułku Artylerii z Węgorzewa, który spieprzył na Białoruś w nocy z 16 na 17 grudnia 2021 r., zrobił publicznie z siebie i swoich kolegów z armii seryjnych morderców. W wywiadach, jakich udzielał mediom Aleksander Łukaszenka, trupy, które polscy żołnierze mieli na sumieniu, szły w setki.

To oczywiście opowieści z mchu i paproci – tym bardziej że wśród rzekomo zamordowanych przez polską armię na pograniczu polsko-białoruskim mieli się znajdować też wolontariusze, którzy pomagali błąkającym się po lasach migrantom. Żadna z organizacji pomocowych działających w pasie przygranicznym nigdy nie zgłosiła zaginięcia – a tym bardziej zamordowania – swojego człowieka.

Tyle że to wbrew pisowskiej i obecnej propagandzie nie zamyka dyskusji i wymaga – kiedyś – śledztwa naprawdę niezależnej prokuratury. Bo o ile mordowanie wolontariuszy wydawało się nieprawdopodobne, to okrucieństwo funkcjonariuszy wobec „ciapatych" jest jak najbardziej do wyobrażenia. Jeśli bowiem szweje nie mieli najmniejszych oporów przy stosowaniu przemocy wobec swoich rodaków – np. obalaniu na glebę i obrzucaniu „kurwami" wolontariuszy i dziennikarzy albo, jak ostatnio, ostrzelaniu cywilnego auta „na urwanym filmie" w Mielniku – to co, na zdrowy rozum, miało by ich powstrzymać przed daniem komuś mocno po mordzie w zimnym i ciemnym lesie, gdzie pozostają całkowicie poza kontrolą mediów i organizacji pozarządowych?

Słyszeliśmy kiedyś historię o tym, że przybyły na miejsce zdarzenia prokurator został postawiony przed faktem dokonania przez policję wszelkich możliwych czynności jemu przysługujących, włącznie z decyzją o zapakowaniu trupa do worka.

Co ciekawe, telefon migranta był fizycznie wyłączony, co się w przyrodzie raczej nie zdarza, bo nieboszczyk nie jest w stanie używać dłoni ani żadnej innej kończyny.

– Być może policja przeszukiwała telefon i usunęła zdjęcia, które mogły kompromitować wojsko albo straż graniczną? – zastanawia się nasz rozmówca ze służb. Oficjalna wersja: ww. „ciapaty" zmarł w wyniku wyziębienia.

W 2022 r., kiedy pierwsze informacje o śmiertelnych ofiarach wśród migrantów przestały budzić wątpliwości, ówczesny szef MON Mariusz Błaszczak pogonił Wojska Obrony Terytorialnej do penetrowania przygranicznych lasów.

Mieli interesować się wszystkim: od truchła padniętych z powodu ASF dzików po ludzkie szczątki. Jakie były statystyki tych poszukiwań? Czy cokolwiek z tych wycieczek po lesie zostało udokumentowane? Czy padnięte dziki i ciała ludzkie były potem utylizowane w kupie?

Nie wiemy i od następcy Błaszczaka, wicepremiera Kosiniaka-Kamysza, raczej się tego nie dowiemy.

Teraz, kiedy grają surmy wojenne, a kandydat na zwierzchnika sił zbrojnych Rafał Trzaskowski zaleca wyborcom przy spotkaniu żołnierza „zatrzymać się, podziękować mu za służbę!", nikt nie będzie rzucał cienia podejrzeń na armię.

Wiemy jedno: ludzkie ciała i ich fragmenty – o czym zaświadczą grzybiarze i miłośnicy wędrówek po lasach w pasie przygranicznym – to nieodłączna część tamtego pejzażu.

Są też i takie zwłoki, które świadczą o tym, że europejski raj był naprawdę bardzo blisko, bo leżą sobie spokojnie w pobliżu rogatek miast i miasteczek. Nikt o nich nic nie wie, bo ci, którzy je uwiecznili telefonem komórkowym, nie chcieli mieć nic wspólnego ani z policją, ani z prokuraturą.

Jarosław Marek Rymkiewicz, wybitny, nieżyjący poeta, flirtujący na starość z pisowską prawicą, a w młodości – fanatyczny stalinista, celnie to ujął w wierszu „Na trupa II":

Leży w sobie ale nie wie komu leży
Ale nie wie komu będzie w co przeminie
Może w trawę się przetrawi w śnieg rozśnieży
Może w wodzie się roztopi może w glinie
Może leży by nam rosło i pęczniało
By nam było choć nie wiemy czym by było
Może leży by się tliło choć zetlało
By się wśniło choć dozgonnie się wyśniło
Twarz błękitna może nam się przepoczwarzy
Zeschła ślina może jeszcze będzie śliną
Wargom żółtym inne wargi już się marzą
Zanim będzie może wodą może gliną
Leży w sobie ale jeszcze chciałby służyć
Teraz ty weź teraz ty go spróbuj użyć.

JAN MIKOŁAJ PAR

SŁOWO CZERWONE

Migranci potrzebują pracy, Polska potrzebuje pracowników

Na naszych warunkach

Jeżeli ktoś dostał się na teren Unii Europejskiej nielegalnie, jest potencjalnym zagrożeniem, terrorystą albo wałkoniem pragnącym żyć z zasiłków kosztem Europejczyków. Jeżeli jednak osoba pochodząca z tych samych krajów, z których napływają „nielegalni" imigranci, przyjechała do nas z ważną wizą, jest osobą pożądaną, miłym, uśmiechniętym Pakistańczykiem przywożącym nam pizzę na motorowerze lub Arabem serwującym kebab.

Fakt, że z narażeniem życia i zdrowia przybyli do nas na tratwach przez morze albo sforsowali płot w Puszczy Białowieskiej czyni z tych ludzi złoczyńców. Dlaczego? Bo żeby kogoś skrzywdzić, dobrze jest go wcześniej oczernić.

Tak uzasadnia się zawracanie tratw z uchodźcami na pełnym morzu, czy push backi polegające na zmuszaniu ludzi, często kobiet z dziećmi, do zawracania do puszczy i na bagna, gdzie ryzykują śmierć z wychłodzenia, niedożywienia i braku wody. A ci, którzy przebrną przez las i dotrą na Białoruś, zostaną przez białoruskich pograniczników przywitani pałkami i odesłani z powrotem na stronę polską.

Tak bardzo nauczono nas się ich bać, że godzimy się z tym, że zginą, byle się do nas nie dostali. Od tego strachu rozsiewanego przez rasistów do pogardy czy wręcz nienawiści jest już tylko krok.

W prawicowych mediach – choć nie tylko – szaleje histeria wokół paktu migracyjnego. Ponoć mają nam tu przysłać tych strasznych nielegalnych imigrantów (strasznych, bo nielegalnych) siłą. A więc nawet jeśli relokowani w ten sposób ludzie nie wyrażą chęci przyjechania do naszego pięknego kraju, trudno sobie wyobrazić, że z pogwałceniem elementarnych praw człowieka kraje Unii Europejskiej będą tu przysyłać ludzi w zaplombowanych wagonach. To w końcu wciąż Unia Europejska, a nie Trzecia Rzesza.

Na miejscu tych nielegalnych imigrantów nie chciałbym jechać do kraju, w którym ludność jest do nich tak wrogo usposobiona. Konfederacja i PiS robią wszystko, aby w takim wypadku każdy miał widły pod ręką.

Są oczywiście inne sposoby, aby tych ludzi zmusić do wyjazdu do Polski. Wystarczy zabrać zasiłki i obiecać, że znów je otrzymają, ale dopiero w Polsce. Jednak wbrew kolportowanym poglądom życie na zasiłku to żadna perspektywa życiowa. I lepiej zostać w Niemczech czy Francji i żyć z pensji niż jechać do Polski mieszkać w jakimś ośrodku i pobierać zasiłek, który zwykle jest nieporównanie niższy niż wynagrodzenie za pracę.

Słowem: my może nie będziemy mieli okazji do ich niewpuszczenia, bo wcale się do nas pchać nie będą.

Przy obecnym klimacie społecznym nie jestem wcale zwolennikiem tego, aby tysiące „niechcianych" imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu przyjechało do Polski. Nie posłużyłoby to ani Polakom, ani przybyszom. Walczę tylko z poglądem, że ci nielegalni imigranci to jacyś „gorsi ludzie", że nie ma szans, by się zintegrowali i żyli szczęśliwie wśród nas. Znam trochę osób, które pokonały płot w puszczy i znakomicie dziś prosperują. Po wyjściu z ośrodków wynajęli mieszkania i podjęli pracę.

Relokacja cudzoziemców miała być wyrazem solidarności europejskiej. Polska, przyjmując uchodźców wojennych z Ukrainy, dała wyraz owej solidarności. Przy okazji bardzo na tym skorzystaliśmy, bo zdecydowana większość Ukraińców w Polsce pracuje i płaci składki emerytalne, co uratowało nasz system ubezpieczeniowy. Jednocześnie zatrudnili się oni w sektorach, gdzie bardzo brakowało rąk do pracy.

Niestety duża część przybyszów ze Wschodu wybiera migrację do krajów bogatszych i takich, gdzie szanuje się prawa pracownicze. Przy obecnej katastrofie demograficznej lukę po coraz bardziej masowo opuszczających nasz kraj Ukraińcach trzeba będzie jakoś wypełnić.

System pomocy społecznej w Polsce jest bardzo skąpy i niewystarczający. Kłóciłoby się więc ze społecznym poczuciem sprawiedliwości, gdyby przyjezdni dostawali pomoc społeczną o wiele większą niż miejscowi. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, aby przyjąć do Polski osoby gotowe podjąć pracę i uzupełnić braki kadrowe w branżach, gdzie powstał deficyt siły roboczej. Mogliby to być ludzie mający już odpowiednie kwalifikacje albo gotowi się przyuczyć. Oczywiście przyjmowalibyśmy takich pożądanych pracowników wraz z rodzinami.

Dla każdego człowieka, miejscowego czy przyjezdnego, praca jest ważnym czynnikiem integracji społecznej. A bycie skoszarowanym w ośrodku dla uchodźców to skrajna forma wykluczenia społecznego. Po kilku latach bezczynności (bezrobocia, braku aktywności zawodowej, życia na zasiłku) zmienia się osobowość człowieka. Taki człowiek jest zwykle nieszczęśliwy.

Jeżeli nie będziemy ludzi wabić do Polski zasiłkami z UE, tylko miejscami pracy, to, co przedstawia się jako groźbę, może się okazać wybawieniem. My pozyskujemy potrzebnych pracowników. A przybysze pracę i trwałe miejsce w naszym społeczeństwie.

Imigracja tak, ale na naszych warunkach.

PIOTR IKONOWICZ

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 9557e356c8

Od żałoby do miłości?

Czy Andrzej Duda zawdzięcza pałac Marcie Kaczyńskiej? E tam…

W ubiegłym tygodniu na portalu Onet ukazał się artykuł Dominiki Długosz. Mógł umknąć uwadze mniej spostrzegawczych czytelników (lub może to ja cierpię na przewlekłą megalomanię i przeceniam własną bystrość). Redaktor Dominika Długosz pisze o książce napisanej przez literatkę Dominikę Długosz (nieprawdopodobna zbieżność nazwisk, nieprawdaż – bo musowo chodzi o różnych Długoszów) pod tytułem: „Tajemnice pałacu prezydenckiego".

Książka miała premierę dopiero co i nie zdążyłem się z nią jeszcze zapoznać osobiście. Pozostaje mi zadowolić się fragmentami opublikowanymi w artykule.

A fragmenty te, oparte na anonimowych źródłach z kręgów PiS, ujawniają pikantne „tajemnice" pałacu prezydenckiego. Redaktorka Długosz, powołując się na pisarkę Długosz, powołującą się na tajemniczych informatorów, prezentuje następujące rewelacje:

Marta Kaczyńska i jej piruety przez życie

Marta Maria Kaczyńska-Zielińska (w międzyczasie też Smuniewska i Dubieniecka) od najmłodszych lat kształciła się w trudnej sztuce baletu, co przygotowało ją do późniejszego „tańca przez życie". Pełnego zwrotów akcji i zmian partnerów. Od 2014 r. dzieli się swoimi przemyśleniami na temat etyki, moralności i życia społecznego na łamach tygodnika „Sieci". Kto lepiej jak nie Marta Maria może pouczać innych o zasadach moralnych, mając za sobą trzy małżeństwa, dwie córki, jednego syna i jedno zaprzeczone ojcostwo?

Przez lata Marta żyła, nie będąc pewna, czy ojcem jej dziecka jest pierwszy mąż, czy drugi, czy może jakiś inny niemąż. Wątpliwość jej ciążyła, choć starannie ukrywana. Cała sytuacja była tym bardziej osobliwa, że nauka od dawna potrafi wyjaśnić pochodzenie dzieci, a większość matek zazwyczaj bez trudu wskazuje właściwego ojca.

Macierewicz, Smoleńsk i apteka nocna – składniki sukcesu Andrzeja Dudy?

Długoszowa sugeruje, że ta dwójka (Andrzej i Marta) miała się ku sobie już za czasów, gdy Duda był urzędnikiem u Lecha Kaczyńskiego. A po Smoleńsku, gdy bomba Macierewicza (przepraszam, „wybuch") pozbawiła Martę rodziców, te relacje stały się, hmm, bardziej „nieoczywiste".

Andrzej Duda bardzo się zaangażował w „opiekę" nad sierotą w żałobie. Organizował 32-letniej wówczas kobiecie skomplikowane przejazdy PKP z Sopotu (gdzie Marta mieszka) do Krakowa (gdzie pochowano Lecha i Marię). Był na każde jej zawołanie, nawet w nocy, kiedy trzeba było jechać po leki do apteki dla któregoś z dzieci – z jednego, a może z dwóch, a może nawet trzech związków. Informator sugeruje, że z czasem relacja stawała się bardziej intymna, choć na zewnątrz utrzymywano pozory przyjaźni.

A potem – sensacja w artykule red. Długosz.

Stawiana jest supozycja, że na nominację Dudy na kandydata PiS-u na prezydenta miała zasadniczy wpływ właśnie Marta Kaczyńska. Człowiek podający się za funkcjonariusza sztabu wyborczego Dudy twierdzi, że Duda nie był naturalnym kandydatem.

Właściwie „był kandydatem bez szans, żeby nie powiedzieć – bez sensu". Co więcej, sam Duda rzeczywiście nie wierzył, że może zostać prezydentem, o czym zresztą wspominał w licznych wywiadach.

W każdym razie kiedy wujek Kaczyński postawił na tego „wątpliwego konia" z nadania bratanicy, stosunki między Martą a Andrzejem zaczęły szwankować. Marta uważała, że została przez Andrzeja wykorzystana, a za szczyt bezczelności uznała złożenie przez Dudę wieńca na grobie jej rodziców z szarfą, na której widniał napis: *Kandydat na prezydenta*.

Agata Duda: Pierwsza Dama, ale która?

Jak wiemy, Duda prezydentem został. Miał wówczas o 8 lat i 81 dni starszą od Marty żonę – Agatę Kornhauser-Dudę. Ta początkowo zachowywała się z godnością Królowej Lodu, udając, że nic się nie dzieje. Prawdziwy bunt rozpoczął się po wyborach. Agata, manifestując swoje niezadowolenie, przez pół roku unikała pałacu prezydenckiego, pozostawiając świeżo upieczonego prezydenta samemu sobie. Małżeństwo Dudów przypominało wówczas marynarski związek – z długimi rozłąkami i sporadycznymi spotkaniami w porcie.

Szlag panią Kornhauser trafił jednak dopiero wtedy, kiedy ukazało się to słynne zdjęcie – mówiące więcej niż tysiąc słów. Fotoreporterzy uchwycili moment, w którym Duda i Marta Kaczyńska przytulają się, a może nawet obmacują podczas jednej z miesięcznic – pod nieobecność Agaty. Jarosław Kaczyński, który stał tuż obok, miał być bardzo, bardzo, bardzo niezadowolony, kiedy zobaczył te zdjęcia. Prawdę powiedziawszy – wpadł w szał.

Rozwód Dudy? PiS uratował Polskę przed zagładą!

Co więcej, na przełomie kadencji pojawiły się pogłoski o rzekomych krokach rozwodowych, jakie Agata miała była podjąć. Od rozwiązania związku małżeńskiego odwodziło ją jednak kierownictwo PiS, argumentując, że rozwód prezydenta, deklarującego się jako katolik, byłby tragedią dla Polski, tragedią dla prezydentury, tragedią dla jej emerytury, tragedią dla PiS-u i w ogóle gwarancją światowej katastrofy. Kornhauser zachowała się odpowiedzialnie.

Cała ta literacko-dziennikarska intryga z Dominikami Długosz w rolach głównych, ma oczywiście jeden cel: zasiać w umysłach czytelników ziarno niepewności i skłonić ich do zadania sobie fundamentalnego pytania: czy Andrzej Duda został prezydentem przez łóżko?

A skoro pytanie zostało postawione, to czas na odpowiedź.

Historia skandali obyczajowych z udziałem polityków jest tak stara jak sama polityka. Relacje z płcią przeciwną, które nadszarpnęły reputację publicznych postaci, wielokrotnie wpływały na ich kariery. Wymienię najważniejsze polityczne skandale obyczajowe ostatnich dziesięcioleci.

Afera Profumo (1963) – brytyjski minister wojny John Profumo został zmuszony do rezygnacji po ujawnieniu romansu z Christine Keeler, która była jednocześnie zakochana w radzieckim attaché wojskowym. Wstrząsnęła brytyjską polityką, że królowej niemal korona z głowy spadła.

Prezydent Francji François Mitterrand miał długoletni romans z Anne Pingeot, z którą miał córkę, Mazarine. Umarł na raka prostaty.

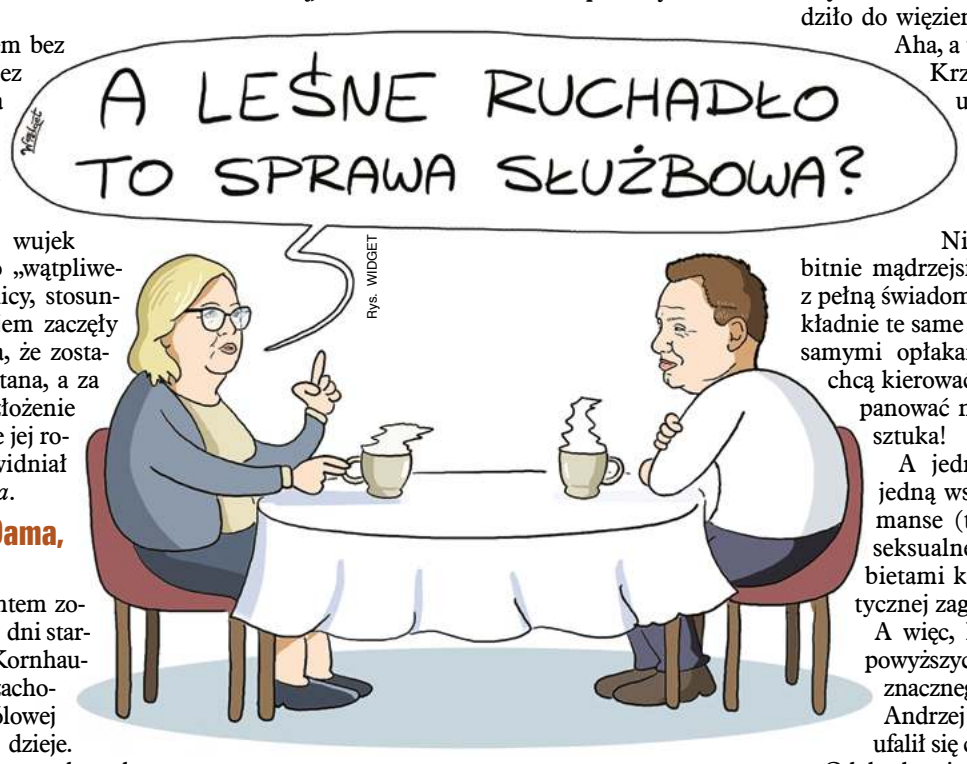

Prezydenta USA Billa Clintona oskarżano o zatajenie „niewłaściwych stosunków seksualnych" ze stażystką Monicą Lewinsky. Afera doprowadziła do próby impeachmentu Clintona oraz alzheimera z parkinsonem.

Amerykański senator Gary Hart, faworyt w wyborach prezydenckich w 1988 r., wycofał się z kampanii po ujawnieniu romansu z modelką Donną Rice.

Włoski premier Silvio Berlusconi był wielokrotnie oskarżany o nieodpowiednie relacje z młodymi kobietami, w tym z nieletnią Ruby Rubacuori. Sprawy te wpłynęły na jego wizerunek polityczny bardziej niż to, że za młodu zajmował się handlem sedesami.

Kandydat na wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych John Edwards w 2004 r. przyznał się do romansu z Rielle Hunter, podczas gdy jego żona walczyła z rakiem. Hunter (nomen omen „Łowczyni") zrujnowała karierę polityczną Edwardsa. Elizabeth Edwards zmarła w 2010 r.

Gubernator Kalifornii Arnold Schwarzenegger przyznał się do ojcostwa z gospodynią domową, podczas gdy był żonaty z Marią Shriver. Afera zachwiała jego reputacją, jaką zdobył, gwiazdując w filmie „Terminator".

Od stodoły do sejmowej mównicy

Ale… po co ja szukam tak daleko? Aneta Krawczyk, działaczka Samoobrony, oskarżyła lidera partii Andrzeja Leppera oraz Stanisława Łyżwińskiego o wymuszanie relacji seksualnych w zamian za pracę. Łyżwińskiego skazano na więzienie. Zarzutów wobec Leppera nie potwierdzono. Powiesił się z zupełnie innego powodu.

Nigdy nie udowodniono konkretnego romansu Romanowi Giertychowi, a jedynie wspominano o istnieniu bliskiej relacji z kobietą spoza jego małżeństwa.

A pamiętacie aferę z działaczem PiS, chyba Kolano, Łydka, Pięta… jakoś tak mu było? Ten, co głosił kazania o świętości rodziny i wartościach katolickich, a potem wpadł po uszy w romans z Izabelą Pek. Wyciekła ich korespondencja pełna pikantnych szczegółów i obietnic stanowisk politycznych. Po ujawnieniu afery Pięta został zawieszony w prawach członka. Pani Pek, nie tracąc czasu, napisała książkę pt. „Noce z Dudą". Tak, tak, z tym samym Dudą, o którym wciąż mówimy.

Przypomnijmy też senatora Piesiewicza, który nie zażywał narkotyków podczas zabaw z młodszą od siebie o 30 lat przyjaciółką, co ją zaprowadziło do więzienia, a jego – nie wiadomo dokąd. Aha, a ten były rzecznik Andrzeja Dudy, Krzysztof Łapiński, co miał rzekomo utrzymywać relacje pozamałżeńskie, to dlaczego odszedł z Kancelarii Prezydenta?

Nic się nie wydarzyło!

Niezwykłe, prawda? Ci genialni, wybitnie mądrzejsi od przeciętnego faceta politycy z pełną świadomością raz za razem popełniają dokładnie te same błędy. W ten sam sposób. Z tymi samymi opłakanymi skutkami. Ludzie, którzy chcą kierować losami narodów, nie potrafią zapanować nad własną chucią. To prawdziwa sztuka!

A jednak wszystkie te historie mają jedną wspólną cechę – otóż ballady i romanse (te właściwe i niewłaściwe) oraz seksualne ekscesy z nieodpowiednimi kobietami konsekwentnie prowadzą do politycznej zagłady.

A więc, Drodzy Czytelnicy, na podstawie powyższych rewelacji dochodzę do jednoznacznego, niepodważalnego wniosku: Andrzej Duda z Martą Kaczyńską nie spoufalił się cieleśnie.

Gdyby bowiem do takowego aktu doszło, byłby to jedyny znany przypadek w dziejach ludzkości, gdy romans pomógł politykowi w karierze, zamiast go pogrążyć. A że Duda wciąż płynie na fali popularności, to matematyka, niczym surowy sędzia, wydaje wyrok: seksu nie było.

To tak samo pewne, jak to, że redaktor Dominika Długosz nie jest pisarką Dominiką Długosz.

ROBERT JARUGA

życie W DOBROBYCIE

● Od lat przeciętnie raz w roku Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) zaleca Polsce wprowadzenie podatku katastralnego. Podatek katastralny to opłata uzależniona od wartości danej nieruchomości i zazwyczaj stanowi jej 1–2 proc. wartości. Płaci się go zwykle raz w roku. Ile razy jednak polscy politycy dostają taką rekomendację, przed mediami nabierają wody w usta, dla OECD zaś wymyślają mnóstwo biurokratycznych problemów uniemożliwiających wprowadzenie nowej daniny. Tym razem jednak OECD przy rekomendacji napisała, że przy dzisiejszej technice wyliczenie wartości nieruchomości nie stanowi problemu. O ostatnią rekomendację spytano polityczkę Lewicy Darię Gosek-Popiołek. Posłanka odpowiedziała: *Uważam, że to jedno z ważnych rozwiązań, które powinno zostać wprowadzone. Podatek katastralny pozwoli uporządkować rynek mieszkaniowy*. Według oświadczenia majątkowego posłanka ma mieszkanie o wielkości 70 mkw. warte co najmniej 820 tys. zł. Co roku musiałaby od niego odprowadzać podatek w kwocie 8200 zł. Ciekawe, czy gdyby nie miała uposażenia poselskiego, to mówiłaby to samo. Zupełnie inną sprawą jest to, czy gdy politycy Lewicy będą opowiadali takie rzeczy, to ktoś będzie miał ochotę na nich zagłosować.

● O ile jednak nic nie wskazuje, by Polacy mieli zostać objęci haraczem katastralnym, to jest duża szansa, żeby finansowo mieli nieco lżej. Co prawda po śmierci, ale zawsze to coś. Kolejne prokuratury kierują bowiem do sądów skargi na uchwały rad miejskich ustanawiające regulaminy cmentarzy komunalnych oraz określające ceny grobów, usług pogrzebowych i stawki opłat cmentarnych. Wśród licznych zastrzeżeń prokuratury znajdują się m.in. zakaz wstępu na cmentarz po zmroku czy obowiązek wybudowania grobu w ciągu roku od nabycia miejsca. Najważniejszym zarzutem jest jednak pobieranie opłat innych niż związanych bezpośrednio z pochówkiem. Prokuratorom nie podobają się głównie opłaty pobierane co 20 lat za tzw. prawo do grobu. Według prokuratorów takie opłaty są nieuprawnione, bo tak orzekł choćby Wojewódzki Sąd Administracyjny w Olsztynie. Według wyroku gminy mogą naliczać opłaty wyłącznie za usługi bezpośrednio związane z pochowaniem zwłok. Nielegalne jest naliczanie dodatkowych kosztów, takich jak opłaty za wjazd czy długoterminowe utrzymanie grobów i inne płatne czynności administracyjne. Gdyby prokuratorom udało się znieść opłaty na wszystkich cmentarzach komunalnych, to i Kościół miałby się z pyszna. Musiałby również na swoich cmentarzach schodzić z cen. Bo jeśli tego nie zrobi, to klienci przeniosą się do świeckiej konkurencji.

● Całkiem inne podejście do wyroków sądowych ma Warmińsko-Mazurska Izba Rolnicza. Zwróciła się ona do Krajowej Rady Izb Rolniczych o pilną interwencję w związku z wyrokiem Naczelnego Sądu Administracyjnego, który de facto zakazał poruszania się po drogach publicznych traktorom białoruskiej marki MTZ Belarus. A to z tej przyczyny, że ciągniki zostały zarejestrowane z naruszeniem prawa. Maszyny te nie spełniają wymagań Rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady UE jeśli chodzi o homologację. Nie przeszły bowiem całego procesu weryfikującego ich zgodność z normami i wymaganiami technicznymi, aby mogły zostać dopuszczone do ruchu drogowego. Mimo to ponad 7 tys. takich traktorów kupili polscy rolnicy i udało im się je zarejestrować. Teraz, gdy okazało się, że nie spełniają one norm, rejestracje te mogą być cofnięte, a traktory miast na pola pojadą na złom. Pierwsze przypadki trafiły już do sądów. Wyroki są niekorzystne dla rolników. Orzeczenie NSA w sprawie ciągników jest ostateczne. Nie dla Izby Rolniczej jednak, bo według niej prawo prawem, „ale sprawiedliwość musi być po naszej stronie". Wnosi więc ona o *pilną interwencję w sprawie cofnięcia decyzji o wyrejestrowaniu ciągników MTZ Belarus*, pokazując, że wyroki sądów polskiego rolnika nie dotyczą.

● Brytyjski bank NatWest zamknie swoją działalność w Polsce do końca 2025 r. Cała załoga banku w Polsce – czyli 1600 osób – straci pracę, przy czym 45 proc. z nich wyląduje na zielonej trawce, a pozostałe 55 proc. zostanie przeniesionych do Wielkiej Brytanii i Indii. Szybka sonda pokazała, że o tym, że w Polsce działa bank NatWest, nie wie nikt. Jeszcze dziwniejszy jest jednak kawałek komunikatu banku mówiący: *decyzja została podjęta po zakończeniu konkretnego projektu dotyczącego przestępstw finansowych w Polsce, co oznacza, że nie ma już pracy dla tych pracowników*. Wychodziłoby zatem, że bank, zamiast zbierać i pożyczać kasę, zajmował się czymś, co bankowi nie do końca przystoi. Nic zatem dziwnego, że zamiast notować gigantyczne zyski, się zwija. Zupełnie inaczej niż ING Bank Śląski, który w IV kwartale 2024 r. wypracował zysk w kwocie 1,3 mld zł – o jedną piątą wyższy od oczekiwań. W całym zeszłym roku zysk ING BŚ wyniósł 4,37 mld zł. Pewnie dlatego, że przestępstwa finansowe w Polsce nie spędzały im snu z powiek.

● Parę dni przed tym, jak Tusk został ośmieszony spotkaniem się z prezesem Google'a, który zadeklarował, że zainwestuje w Polsce 5 mln dol. – czyli pewnie mniej, niż wydaje na taksówki, gdy jest w delegacji – premier zapowiedział, że w tym roku polska gospodarka przeznaczy na inwestycje 650 mld zł, a może nawet i trochę więcej. Mówił to z taką miną, jakby cała ta kasa miała trafić wprost na konta wszystkich Polaków. Tymczasem w roku 2023 na polskie inwestycje poszło ponad 603 mld zł. W 2024 r. inwestycje mieliśmy na poziomie 621 mld zł. Niemal takim jak ten zapowiadany przez Tuska. Z czego więc Tusk tak się cieszył? Bo chyba nie z tego, że zapowiadana przezeń skala inwestycji w Polsc wciąż plasuje nas w ogonie Unii Europejskiej? Istnieje bowiem

eprasa.pl 9557e356c8

Budowle obronne najlepiej wyglądają w statystykach

Schrony z papieru

Za nieboszczki komuny Dworzec Centralny w Warszawie wybudowano w ciągu trzech lat. Od czasu ruskiej agresji na Ukrainę w lutym 2022 r. powstało w Polsce ok. 550 tys. mieszkań. I ani jeden schron przeciwlotniczy.

Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Kryj się!

Kiedy trzy lata temu na ukraińskie miasta poleciały pociski, bomby, rakiety i drony, dowiedzieliśmy się, że mieszkamy w kraju, w którym sprawnych jest 91 schronów przeciwatomowych.

Gdyby jednak w polski obszar powietrzny wleciały nie głowice jądrowe, ale bomby i rakiety z konwencjonalnym ładunkiem wybuchowym, to szanse na znalezienie lokum zapewniającego bezpieczeństwo obywateli rosły – przynajmniej na papierze. Według Obrony Cywilnej Kraju mieliśmy ok. 60 tys. budowli obronnych, których pojemność wynosiła 1,3 mln osób, znaczy 3 proc. populacji Polski.

Gdy poskrobało się w internecie, to każdy mógł się dowiedzieć, że ktoś wciska obywatelowi kit. Bo według danych z roku 2017 schronów było wtedy niecałe 40 tys., a miejsc w nich niemal 900 tys. A ponieważ od tamtego czasu nie wybudowano żadnego schronu, to opowieści o nich brały się z sufitu. No i z papierologii. Przyrost schronów z początku 2019 r. wziął się bowiem stąd, że 4 grudnia 2018 r. weszły w życie wytyczne szefa OCK w sprawie zasad postępowania z zasobami budownictwa ochronnego. W normatywach technicznych stanowiących załącznik do wytycznych wprowadzono nowe definicje oraz określono warunki techniczne, jakim powinny odpowiadać budowle ochronne.

Definicja budowli ochronnej określająca niegdyś schron jako schron od tej pory brzmiała tak: *Przez budowlę ochronną należy rozumieć pomieszczenie lub zespół pomieszczeń przeznaczonych do ochrony osób, urządzeń, zapasów materiałowych lub innych dóbr materialnych przed skutkami działań zbrojnych, ekstremalnych zjawisk pogodowych, katastrof ekologicznych, przemysłowych lub innych zagrożeń*. Poza tym budowle ochronne podzielono na dwie kategorie: schron, czyli *budowlę ochronną o obudowie konstrukcyjnie zamkniętej, hermetycznej, zapewniającej ochronę osób, urządzeń, zapasów materiałowych lub innych dóbr materialnych przed założonymi czynnikami rażenia oddziałującymi ze wszystkich stron* oraz na ukrycie, czyli *budowlę ochronną niehermetyczną, wyposażoną w najprostsze instalacje, zapewniającą ochronę osób, urządzeń, zapasów materiałowych* itd.

Dzięki temu mykowi biurokratycznemu budowlami ochronnymi stały się *garaże wielostanowiskowe zagłębione w gruncie przynajmniej częściowo*, wszystkie piwnice bloków z wielkiej płyty mających nie więcej niż pięć kondygnacji, w stolicy zaś do miana schronu doszlusowało metro.

Dane o liczbie schronów Obrona Cywilna pozyskiwała od władz samorządowych, które prowadzić miały ich ewidencję. Ta zaś polegała na tym, że jak coś zostało do niej wpisane kilkadziesiąt lat wcześniej, tak sobie w zestawieniu wisiało. Nikt nigdy nawet nie próbował weryfikować tych danych. A tam, gdzie się do tego przymierzano, zapał szybko przechodził, bo okazywało się, że większość istniejących obiektów utrzymywana była w stanie technicznym z reguły zagrażającym życiu i zdrowiu. Ba, niektóre z budowli ochronnych znajdowały się na terenach przewidzianych pod inwestycje budowlane i od dawna już ich nie ma lub są podbudową fundamentów współczesnych apartamentowców.

Przez trzy lata trwa nieustające liczenie schronów. W czerwcu 2022 r. komendant główny Państwowej Straży Pożarnej informował, że w Polsce mamy ponad 62 tys. schronów, które mogą zmieścić ok. 1,3 mln ludzi. Według danych zebranych przez Państwową Straż Pożarną w latach 2022 i 2023 okazało się jednak, że mamy ich raptem 1,7 tys. Ale za to ogólną liczbę 233 tys. tzw. budowli ochronnych uzupełnia 7,8 tys. ukryć oraz 223,5 tys. miejsc doraźnego schronienia. Już za nowego rządu wiceminister SWiA Wiesław Leśniakiewicz przekazywał, że na koniec 2023 r. zgodnie z zestawieniami, które robiła straż pożarna, w Polsce jest 4329 schronów. *W tej liczbie zapewne jest wiele schronów wymagających renowacji, poprawek i naprawy, bo przez lata zostały zniszczone* – dodawał.

W końcu za liczenie schronów wzięła się NIK. *Okazuje się, że nie ma rzetelnych danych, jaka jest pojemność schronów i miejsc ukrycia. Ich liczba różni się nawet w sprawozdaniach MSWiA oraz KG PSP* – napisała potem w raporcie. A to dlatego, że

inspektorzy dostali kwity, które wykazywały w 2021 r. 56,2 tys. budowli ochronnych, a już w 2022 r. – 10,6 tys. Najzabawniejsze dla kontrolerów było to, że w tym czasie pomimo zastoju w budownictwie ochronnym ich pojemność wzrosła z 997 tys. w 2021 do 1,4 mln w 2022 r.

Konwencja z metrem

Wszystkie te wyliczenia i tak można było wsadzić sobie w buty, bo w Polsce obowiązuje prawo stanowiące, że obowiązek utrzymania schronów w blokach spada na ich właścicieli. Czyli na wydziały komunalne, spółdzielnie mieszkaniowe lub wspólnoty mieszkaniowe. W związku z tym schrony po prostu niszczały. Wydatki na utrzymanie, konserwację oraz finansowanie budowli ochronnych w 2017 r. wyniosły niemal 899 tys. zł, a w 2018 – 230 tys. zł. Danych za kolejne lata nie ma, ale odpowiedzialni za lokalną obronę cywilną twierdzą, że jest jeszcze gorzej, bo zamiast utrzymywać schrony, zgodnie z orzecznictwem sądowym spółdzielnie, samorządy i wspólnoty jęły masowo przekształcać schrony w zwykłe piwnice i sprzedawać je chętnym lokatorom.

Kilka lat temu rzecznik praw obywatelskich czepił się przepisów i stwierdził, że *z uwagi na przeznaczenie znajdujących się w budynkach mieszkalnych schronów obowiązek ich utrzymania powinny ponosić terenowe jednostki obrony cywilnej, nie zaś wspólnoty mieszkaniowe*. Adam Bodnar – bo on to był – miał rację, bo obowiązek przygotowania i organizowania budowli ochronnych nakłada na państwa-strony art. 61 pkt 3 Protokołu I Konwencji Genewskiej. Polska ratyfikowała konwencję, ale ten jej zapis miała gdzieś. W związku z czym nawet Putin mógł uznać, że Polska nie przestrzega Konwencji Genewskiej, w związku z czym ruskie bomby i rakiety też jej przestrzegać nie muszą.

Kraje, które były w NATO przed 1999 r., jakoś z wymienionym zapisem problemów nie miały, więc średnia zachodnioeuropejska dotycząca miejsc w schronach oscylowała od 20 do 35 proc. populacji. Nienależąca wówczas do paktu Szwecja zbudowała schrony nawet dla 85 proc. swojej ludności. Nasze 3 proc. ochrony przed bombami nie dość, że było tylko na papierze, to na dodatek dzięki wytycznym OCK nie spełniało żadnych funkcji ochronnych.

W normalnym kraju schron w piwnicy budynku powinien pozwolić na wydostanie się z niej, nawet gdy trzy ściany spadną na ziemię. U nas schronem jest coś, skąd można wyjść tylko na jedną klatkę schodową, która jeśli będzie zasypana gruzem, to schron stanie się masowym grobowcem dla głodnych lub uduszonych. Miałyby przetrzymać bombardowanie podziemne garaże, które nie są w stanie przetrwać nawet wybuchu samochodowego zbiornika z gazem lub pożaru samochodu elektrycznego, po których to nadzór budowlany zabrania korzystać z budynków, gdyż filary grożą w każdej chwili jego zawaleniem? Czy może stacje warszawskiego płytkiego metra, przebiegające przeciętnie tylko kilkanaście metrów pod ziemią? W Kijowie stacje tamtejszego metra są 60–105 m pod ziemią. 90 proc. polskich schronów może więc chronić przed kulami czy odłamkami, ale na pewno nie przed bombardowaniem.

Ministerstwa obrony przed schronami

Mimo że po napaści Rosji na Ukrainę uregulowanie przepisów wydawało się nader pilne, PiS w marcu 2022 r. przyklepał nam ustawę o obronie Ojczyzny, która de facto zlikwidowała w Polsce obronę cywilną. Ówczesny minister spraw wewnętrznych i administracji nie zadbał o wprowadzenie do tej ustawy przepisów przejściowych przedłużających obowiązywanie uregulowań dotyczących obrony cywilnej funkcjonujących od niemal 60 lat.

Rządzącej koalicji zmiana przepisów zajęła niemal rok. I wcale

nie chodziło o definicje ani o to, jak mają wyglądać schrony budowane przez deweloperów. Problemem było to, który resort ma wyskoczyć z kasy.

W lipcu szef MSWiA Tomasz Siemoniak z radością oznajmił mediom: *Jestem po słowie z wicepremierem Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem co do tego, że budowa schronów przez państwo i samorządy będzie finansowana z części budżetu obrony narodowej. Uważamy, że jest to przedsięwzięcie też o charakterze obronnym*.

W sierpniu pochwalił się, że na budowę miejsc ukrycia dla wojska i cywilów oraz magazynów amunicji i zaopatrzenia rząd przeznaczyć chce 0,15 proc. PKB z części przeznaczonej na obronę narodową. Oprócz tego drugie 0,15 proc. PKB ma zostać dołożone z funduszy Państwowej Straży Pożarnej i Ochotniczej Straży Pożarnej. W sumie rocznie na budowę schronów ma iść 5–6 mld zł.

We wrześniu to wszystko wzięło w łeb. MON na partycypowanie w schronach się wypięło. Uznało, że wspomniane 0,15 proc. PKB ma pójść *na zadania obronne*. Z takim podejściem nie zgodziło się MSWiA, które – w odpowiedzi na uwagi resortu obrony – napisało, że *nie ulega wątpliwości, że środki w wysokości 0,15 proc. PKB, przekazywane przez resort obrony narodowej, muszą być wydatkowane na wszystkie zadania ochrony ludności i obrony cywilnej, a nie tylko na zadania obronne*.

Ustawa o ochronie ludności i obronie cywilnej weszła w życie 1 stycznia 2025 r. Przez rok rządzenia nowej koalicji żadnego schronu nie zbudowano. I nic nie wskazuje na to, żeby coś się miało zmienić. Bo nawet za rozporządzenia do ustawy rząd wziął się dopiero po miesiącu jej obowiązywania. Ba, nie powstał Fundusz Ochrony Ludności i Obrony Cywilnej, który miał dysponować kasą na budowanie nowych schronów.

Zdaniem fachowców od budowania schronów pod rezydencjami bogaczy za 6 mld zł rocznie można zrobić bardzo niewiele. Budowanie wielkich schronów z filtrami powietrza, toaletami i magazynami na żarcie, mogących wytrzymać ataki bomb termobarycznych, to bowiem drogie przedsięwzięcie. I gdyby Polska chciała osiągnąć w schronach poziom Szwecji, to przez najbliższe 10 lat należałoby inwestować w budownictwo obronne rocznie po 700 mld zł. Więcej, niż wynoszą dzisiejsze roczne wydatki państwa.

Więc może zamiast budować schrony, taniej będzie wyposażyć każdego obywatela w bilet na samolot do Australii, a jeszcze lepiej na Tasmanię, gdzie ruskie rakiety nie mają po co lecieć?

TADEUSZ JASIŃSKI

coś takiego jak stopa inwestycji. Średnia unijna stopa inwestycji wynosi 22 proc., w Polsce zaś – 17,4 proc. (w 2024 r.). Była nawet niższa niż w 2023 r. gdy zanotowano 17,7 proc. I gdyby nawet tegoroczne inwestycje wyniosły 700 mld zł, to stopa inwestycji i tak miałaby ledwie 18,2 proc. Zapowiadane inwestycje speców od gospodarki bawią, ale tym, z kogo ekonomiści śmieją się najbardziej, jest szef InPostu Rafał Brzoska w roli deregulatora. Tusk wymyślił dla niego rolę zbawcy polskiej gospodarki. Widać premier zapomniał, że dwóch deregulatorów już miał. Pierwszy, Jarosław Gowin się nazywał. Tyle że przeprowadzonej przez niego w 2013 r. deregulacji nikt już nie pamięta. Tak jak i tego, że w niegdysiejszym rządzie Tuska był ministrem sprawiedliwości. To zaś, że robił za wicepremiera Dobrej Zmiany wiedzą wszyscy. Przed Gowinem deregulacją w imieniu Tuska zajmował się bezskutecznie Janusz Palikot uchodzący za wielkiego biznesmena. Ten sam Palikot, który po odsiedzeniu w areszcie kilku miesięcy, czeka na kolejne wyroki na wolności. Dlatego jesteśmy ciekawi dalszych losów Brzoski.

TTJ

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Radio TOK FM, sobotni poranek, red. Dominika Wielowieyska rozmawia z politykami, wśród których jest Paweł Szrot z PiS-u. Zaczyna się ślinić, gdy mówi o drugiej żonie dziennikarza „Gazety Wyborczej" Wojciecha Czuchnowskiego Magdalenie Fitas. Że była tłumaczką podczas spotkania wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza z sekretarzem obrony USA Pete'em Hegsethem. Ślina Szrota ciurka: ciurk, ciurk, ciurk. Że Czuchnowski nazwał Hegsetha „przygłupem wytatuowanym jak recydywista". Język Szrota mlaska: mlask, mlask, mlask. Że Fitas była żoną Marka Dukaczewskiego. Mlask, ciurk, mlask, ciurk.

Żona najpierw ostatniego szefa Wojskowych Służb Informacyjnych, a teraz dziennikarza „Wyborczej" już raz rozpaliła wyobraźnię Szrota. O udziale Fitas w spotkaniu z Hegsethem napisał na X: *Panie Premierze Kosiniak-Kamysz, kto odpowiada za tą dywersję? Jeśli Pan się łudzi że Amerykanie tego nie zauważą to jest Pan skrajnie naiwny albo mocno wystraszony* (interpunkcja i deklinacja zaimka „ta" – oryginalne).

Nie wiemy i nie chcemy wiedzieć, kim jest żona Szrota. Mamy jednak nadzieję, że nie ślini się, nie mlaska, jest mądrzejsza od męża, a jedyne, co by mogła zarzucić Magdalenie Fitas, to zły przekład z angielskiego na polski.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 9557e356c8

Wstańka

Który polski polityk pierwszy zadzwoni do prezydenta Putina?

Prezydent Trump wyprał politycznie prezydenta Putina. Publicznie potwierdził, że nawet ten rosyjski prezydent może być partnerem biznesowym i politycznym amerykańskiego prezydenta. Może przedstawiać swoje racje, a przywódca największego światowego mocarstwa z uwagą, a nawet ze zrozumieniem wysłucha jego argumentów. Zwłaszcza uzasadniających rosyjski atak na Ukrainę.

Czas rachunku

Ujawnione przez prezydenta Trumpa niespodziewane kontakty amerykańsko-rosyjskie wzbudziły wielkie zdumienie europejskich polityków i komentatorów medialnych. Najbardziej polskich.

A przecież prezydent Trump i jego współpracownicy powiedzieli jedynie to, o czym wszyscy europejscy politycy i komentatorzy medialni wiedzieli. Tylko oni jeszcze nie mówili tego publicznie. Trump zachował się jak dziecko z bajki o nowych szatach króla.

Każdy rozsądny europejski polityk i komentator medialny od miesięcy wiedział, że Ukraina nie ma obecnie militarnych zdolności do odbicia Krymu i terenów graniczących z Rosją, zajętych przez rosyjską armię po 2022 r.

Także dlatego, że poprzedni prezydent USA Joe Biden skutecznie blokował dostawy do Ukrainy uzbrojenia pozwalającego zaatakować Rosję na całym jej terytorium.

A w poufnych rozmowach z ukraińskim prezydentem uchylał się od jednoznacznych obietnic zaproszenia Ukrainy do NATO. Choć publicznie w mediach zawsze prezydenta Zełenskiego popierał i jego wojska do boju zachęcał.

Wygląda na to, że z perspektywy Waszyngtonu wojna w Ukrainie miała przede wszystkim osłabić gospodarczo i militarnie Rosję. Nauczyć ekipę Putina pokory i respektu wobec USA i kolektywnego Zachodu. Ale Waszyngton nie zamierzał doprowadzać do jej eskalacji. Grożącej użyciem broni jądrowej przez Rosję.

Teraz wygląda na to, że prezydent Trump i jego administracja uznali, że wyznaczone cele zostały już osiągnięte. I szkoda dalej wydawać pieniądze na kosztowną wojnę.

Nadszedł też czas na wystawienie Ukrainie rachunków za dotychczasową amerykańską pomoc. Ale aby uzyskać zwrot kapitału zainwestowanego w obronę państwa ukraińskiego, trzeba wpierw doprowadzić do zawieszenia działań wojennych. I dopiero potem eksploatować najcenniejsze obecnie ukraińskie surowce. Aby Amerykę znów uczynić wielką.

Wieczny rozejm

Zapewne amerykańscy i rosyjscy negocjatorzy doprowadzą – może jeszcze w tym roku – do rozejmu między Ukrainą i Rosją. Uzgodnią takie warunki, aby przywódcy Ukrainy i Rosji mogli odtrąbić w swoich mediach swe wygrane.

Ukraińscy zapewne będą przypominać, że swą determinacją i przelaną krwią ocalili ukraińską państwowość i suwerenność polityczną.

Ziem utraconych na rzecz Rosji formalnie nie wyrzekną się. Tak jak Japonia nie wyrzekła się zajętej w 1945 r. przez ZSRR swojej części Sachalina, a Chiny – zajętej przez carską Rosję w 1865 r. swojej części Syberii.

Ukraina dołączy do światowego klubu państw poszkodowanych terytorialnie przez koncert mocarstw. Może nawet zbliży się do sąsiednich Węgier. Wielce poszkodowanych terytorialnie przez traktat w Trianon z 1920 r. Ciągle uznawany za historyczną krzywdę narodu i państwa węgierskiego. Pielęgnowaną wytrwale przez ekipę premiera Orbána.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Prezydent Putin i jego drużyna będą mogli odtrąbić swój sukces w tej operacji wojskowej. Bo faktycznie udało się kolejne zbieranie ruskich ziem. Odebrali to, co im się historycznie należało. A po rozejmie będą wpływać na ukraińskie życie polityczne, aby wybrać bardziej prorosyjskiego ukraińskiego prezydenta od obecnego.

Będą ku temu warunki, bo Ukraina wyjdzie zrujnowana przez trzyletnią wojnę. A amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa ukraińskiego państwa będą wprost proporcjonalne do wartości surowców wyeksploatowanych tam przez firmy z USA.

Ukraina będzie rzecz jasna ubiegać się o członkostwo w NATO i Unii Europejskiej. Rozpocznie międzynarodowe lobbowanie. Do tej pory jej najpoważniejszym politycznym argumentem była krew przelewana za bezpieczeństwo Europy przez ukraińskich żołnierzy i wojenne cierpienia ukraińskich cywili. Rozejm pozbawi przywódców Ukrainy tego skutecznego w mediach argumentu nacisku na europejską opinię publiczną. Świeże groby zawsze wzruszą. Niestety groby obrosłe już trawą przestają budzić powszechne emocje.

Ukraina będzie ubiegać się o członkostwo w NATO i UE w niekorzystnych politycznie warunkach. Nie ma już kolektywnego Zachodu. Rozwalił go jego przywódca prezydent Trump. Kiedy wezwał Europejczyków z NATO do skokowego wzrostu wydatków na ich obronę. Do przejęcia przez nich pełnej odpowiedzialności za obronę europejskiego kontynentu.

Jego zastępca, wiceprezydent J.D. Vance, podczas monachijskiej konferencji demonstracyjnie odciął się od świata dominujących teraz w Unii Europejskiej demokratycznych wartości. Poddał je fundamentalnej krytyce. Uznał je za obce amerykańskim pryncypiom. A skoro tak jest, to niech UE nie wymaga, aby Amerykanie umierali za obcą im lewacką Europę.

Bujaj się, Europo

Prezydent USA, jeszcze niedawno zwany w europejskich liberalnych mediach przywódcą wolnego świata, wyciągnął z politycznego karceru prezydenta Putina. Nadal ściganego przez Międzynarodowy Trybunał Karny dyktatora. Ale administracja USA nie uznaje tego Trybunału.

Zatem prezydent Putin może odwiedzić Waszyngton i spotkać się z prezydentem Trumpem. Zwłaszcza kiedy obaj uznają, że Krym też można zamienić w śliczną riwierę. Łatwiej niż Gazę, bo bez konieczności wysiedlania Palestyńczyków.

Zawarty przez USA i Rosję rozejm w Ukrainie zamieni Unię Europejską we wspólnotę państw o różnej prędkości politycznej. Tych ciągle wspierających Ukrainę i tych wyrywających się do współpracy z Rosją.

Do zawieszenia sankcji ekonomicznych. Skoro wojny już nie ma, skoro ukraińscy cywile już nie giną.

Czy Węgry jako pierwsze pójdą drogą Trumpa? Ich minister spraw zagranicznych i handlu Péter Szijjártó pytany o pamięć krzywd, jakich Węgrzy zaznali kiedyś od Rosjan – zwłaszcza podczas tłumienia ich narodowego powstania w 1956 r. – tak wyjaśniał polskim czytelnikom w tygodniku „Do Rzeczy": *O sprawach historycznych mamy bardzo jasne zdanie. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że jest ono bardzo podobne do waszego. Cierpieliśmy 40 lat pod komunistycznym reżimem. Mamy największy szacunek dla naszych bohaterów narodowych, którzy walczyli w 1956 roku o wolność, swobodę oraz suwerenność kraju. Jednak gdy mowa o bieżących relacjach z Rosją, patrzymy na nie z punktu widzenia czasu obecnego i przyszłego*.

A pytany, czy Europa – także Polska – jest w stanie ułożyć sobie ponownie *przynajmniej poprawną relację, bez wrogości z Rosją* odparł: *Ponieważ tak już kiedyś było, mam nadzieję, że te czasy wrócą. Nie dawniej jak osiem lat temu ówczesna kanclerz Niemiec mówiła o strefie współpracy gospodarczej od Lizbony do Władywostoku. I był to okres, gdy taka współpraca trwała bez większych zakłóceń. Powtarzam: skoro było to możliwe, to jest również możliwe w przyszłości. Tak byłoby lepiej dla nas wszystkich*.

Kiedy czytamy takie deklaracje, nie zdziwmy się, jeśli zaraz po zawarciu rozejmu USA–Rosja Węgrzy zaczną montować w Unii Europejskiej towarzystwo przyjaźni i współpracy gospodarczej z Rosją. Poprzeć ich mogą Austria, Słowacja, Słowenia, a przełom nastąpi, kiedy ruszą się największe gospodarki naszej Unii Europejskiej.

Co wtedy zrobią polskie elity polityczne?

Dalej pozostaną niezłomne w izolowaniu Rosji?

Niczego w polityce wschodniej nie zmienią?

Czy może mają już jakiś plan B?

Nie chodzi o to, by zrobić z Warszawy Budapeszt, ale odnaleźć się w zupełnie nowej geopolitycznej przestrzeni.

Ukrainie zaś po zawartym rozejmie pozostanie skuteczne wyjście ewakuacyjne. Powinna porzucić żmudne starania o NATO i Unię Europejską. Zgłosić za to akcesję do Stanów Zjednoczonych prezydenta Trumpa.

Skoro Kanada nie chce, Grenlandia nie pali się, to może nowy stan Ukraina zaspokoi ambicje przywódcy wolnego świata.

PIOTR GADZINOWSKI

Przestańcie pieprzyć o wolności słowa, tu idzie o kasę.

Cyber Vance

– W Waszyngtonie jest nowy szeryf. Pod przywództwem Donalda Trumpa możemy nie zgadzać się z waszymi poglądami, ale będziemy walczyć, aby bronić waszych praw do ich wygłaszania na forum publicznym i zgadzania się z nimi bądź nie – powiedział podczas monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa wiceprezydent USA J.D. Vance. *Przychodzę tu dzisiaj nie tylko z uwagami, ale i z ofertą. Tak jak administracja Bidena wydawała się zdesperowana, aby uciszyć ludzi wypowiadających swoje opinie, administracja Trumpa robi dokładnie na odwrót. I mam nadzieję, że razem nad tym popracujemy.*

Występ Vance'a uruchomił tsunami histerii.

W starożytnej Grecji panowała zasada *legein meta parresia*, czyli mówić swobodnie. Wolność słowa uważano za jedną z podstaw demokracji. Jedną z najważniejszych. Tymczasem walka toczy się nie o wolność słowa jako taką, tylko o to, kto tą „wolnością" będzie zarządzał, a przede wszystkim ile na tym zarobi – z Putinem jako obrzydliwym, ale jednak tylko tłem tej całej historii.

Nie patrz tam, gdzie gapa sra

Ponieważ większość polityków i komentatorów myśli stadnie, czyli właściwie nie myśli albo biegnie myślami za kimś zupełnie bezmyślnym, wszyscy jak jeden mąż skupili się na wydłubywaniu co tłustszych, acz zupełnie nieistotnych farfocli z zupy banałów przemówienia Vance'a. Wygodnie zainstalowana w anusach Trumpa i jego pobocznych prawica pieje peany o powrocie do tradycyjnych wartości, a prounijne stado krajowego establishmentu politycznego dalej robi laskę Amerykanom, chociaż z grymasem zamiast uśmiechu, zapewniając w przerwach na oddech, że demokracja w Europie jest prima sort.

Czynione przez hamburgerową prawicę utożsamianie Unii Europejskiej z neofaszyzmem jest oklepanym komunałem. Wszak to skrajna prawica protezuje utracone raje przez pokrewieństwo z wszelkiej maści totalitaryzmami, chociażby poprzez swój nacjonalizm, wynoszenie wielodzietności i „tradycyjnej" rodziny na piedestał na ksenofobii kończąc. Dążenie nowych amerykańskich elit do formalnie nieograniczonej władzy – nie bójmy się tego określenia – dyktatorskiej nie tylko staje się faktem, ale trafia na podatny grunt kołtuństwa, które jeszcze nie wie i pewnie nieprędko się zorientuje, że samo będzie najmocniej dymane bez mydła i litości. Póki co masy intelektualno-ekonomicznej biedoty taplają się w samozadowoleniu, że ktoś wreszcie mówi do nich zrozumiałym językiem i obiecuje poprawę, a co najważniejsze, daje im głos. Nie żeby górę obchodziły zwyczaje plemienne pospólstwa i szczątkowe próby czynionych przezeń przemyśleń, to oczywiste.

Wytrawni biznesmeni są świadomi, że najbardziej prymitywne instynkty można przekuć w zysk – co ważne, nie tylko polityczny, ale *stricte* monetarny. I między innymi – a może przede wszystkim – o tym było wystąpienie Vance'a.

Cyfrowa smycz

Bez wątpienia dla Europy nie mogło być gorszego historycznie momentu na fochy Wuja Sama, a dla USA lepszej okazji na zrobienie z UE wiatraka. Wymierzony w kraje Starego Kontynentu strzał nie był przypadkowy, a zdumienie ich przywódców jest zwyczajnie śmieszne. Imperialistyczne zapędy Stanów Zjednoczonych nie uformowały się wczoraj i nie dotyczą tylko dóbr ukrytych pod ziemią.

Kiedy oczy wszystkich są zwrócone na ukraiński front, Vance wykłada prącie na stół i instruuje, gdzie trzeba całować. Cała gadka o cenzurze mediów społecznościowych, walce z dezinformacją i reszta jego bełkotu to jasny sygnał dla Unii: albo poluzuje gumę regulacji mających znaczący wpływ na działalność amerykańskich Big Techów, albo inaczej będziemy rozmawiać. Google (należący do spółki Alphabet) i Meta to amerykański duopol reklamy cyfrowej na świecie. Dodatkowo Alphabet (warta 2,3 bln dol.) jest światowym liderem w dziedzinie sztucznej inteligencji, obliczeń kwantowych i samochodów autonomicznych.

Wszystkie te firmy mają wielki apetyt na przetwarzanie danych użytkowników celem trenowania AI. Tymczasem Unia Europejska wprowadziła szereg restrykcji, które mają powstrzymać drapieżne zakusy gigantów: ochronę danych osobowych użytkowników (słynne RODO), dostosowanie systemów sztucznej inteligencji do regulacji mających na celu zapewnienie bezpieczeństwa i etyki w użyciu tej technologii; czy np. zakaz reklam opartych na danych wrażliwych (płeć, rasa, religia, poglądy polityczne) oraz stosowania *dark patterns*, czyli nieuczciwych praktyk projekto-

Rys. MARCIN CHUDZIK

eprasa.pl 9557e356c8

Po miesiącu prezydentury Trump jest skłócony z niemal całym światem

Wojownik ekonomiczny

Obserwując politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych na przestrzeni ostatnich 100 lat, można dojść do wniosku, że Amerykanie mają w sobie zakodowany gen wojowniczości. Do tej pory u większości prezydentów USA objawiało się to w dość prymitywny sposób w postaci wojen i zbrojnych interwencji. Donald Trump też chce wojować, z kim tylko się da, tyle że za pomocą narzędzi ekonomicznych. Niemiecki kanclerz Olaf Scholz tłumaczy to cechami psychicznymi Trumpa, twierdzi, że jest on megalomanem o narcystycznej osobowości. Opinia ta wydaje się trafna, skoro amerykański prezydent uznał, że jest na tyle silny, że może sobie pozwolić na konfrontację niemal z całym światem.

Jak niedobrze mieć sąsiada

Jak wiadomo, najłatwiej jest pokłócić się z sąsiadami. I tak też postąpił Trump, gdy rozpoczął swoją globalną wojenkę od Meksyku i Kanady, które obłożył cłami. Nie chodziło bynajmniej o ochronę amerykańskiego rynku przed kanadyjską pszenicą czy meksykańską tequilą, lecz o wymuszenie ściślejszej ochrony granic przed podążającymi do Stanów emigrantami. W efekcie oba te kraje zgodziły się na zastosowanie ostrzejszych środków kontroli granicznej z USA, a Trump łaskawie zgodził się na zawieszenie podwyżki ceł, rezerwując sobie prawo do jej odwieszenia, gdyby jakiś kolejny pomysł wpadł mu do głowy.

A takie pomysły ma amerykański prezydent w ilościach ponadnormatywnych. Ten z przejęciem Grenlandii wywołał w Danii prześmiewczą reakcję: zebrano ponad 200 tys. podpisów pod petycją domagającą się zakupienia przez Danię amerykańskiego stanu Kalifornia. Dlaczego wybrano akurat Kalifornię? A dlatego, że na terenie tego stanu trzech duńskich emigrantów w 1911 r. założyło miasto Solvang (Słoneczne Pole) i umieściło tam muzeum Andersena.

Na sąsiadach można jeszcze coś wymusić, o wiele trudniej na krajach odleglejszych, zwłaszcza gdy dysponują one potężnym ekonomicznym potencjałem jak Chiny, z którymi Trump już zaaranżował wojnę celną. Jeszcze w styczniu amerykański sekretarz stanu Marco Rubio mówił o tym, że stosunki pomiędzy USA i Chinami są najważniejsze w bieżącym stuleciu i to one będą kształtować przyszłość globu, a obydwa kraje powinny wspólnie reagować na globalne wyzwania. Jednak już w pierwszych dniach lutego Trump pokazał światu, jak wyobraża sobie owe najważniejsze stosunki, podwyższając o 10 proc. stawki celne na chińskie produkty. Chiny opowiedziały w ten sam sposób: wprowadziły dodatkowe cło m.in. na amerykańską ropę, węgiel i sprzęt agrotechniczny, a ponadto skierowały do Światowej Organizacji Handlu (WTO) skargę przeciwko Stanom, że ich decyzje są typowym przykładem protekcjonizmu i w poważnym stopniu naruszają reguły WTO. Jedyne, co do tej pory udało się Trumpowi w konfrontacji z Chinami, to wywarcie presji na Panamę, aby ograniczyła kontakty gospodarcze z Pekinem i zobowiązała się do nieprzedłużania umowy w sprawie udziału w sztandarowym chińskim przedsięwzięciu – Inicjatywie Pasa i Szlaku (Belt and Road Initiative).

Przenosiny Palestyny

Kolejnym poronionym pomysłem „lidera wolnego świata" była idea przymusowego przesiedlenia palestyńskiej ludności z terenu Gazy do Egiptu i Jordanii. Trump twierdzi, że ze Strefy Gazy można uczynić kwitnącą bliskowschodnią riwierę pełną odnawialnej energii, z lotniskami, hotelami blisko plaży, sztuczną inteligencją. Dla kogo ma być ten raj, skoro Palestyńczycy mają być stamtąd wysiedleni? Oczywiście dla Amerykanów, którzy przejęliby kontrolę nad tym obszarem.

Trump uważa, że Egipt i Jordania będą zmuszone do przyjęcia jego planu, ponieważ oba te kraje otrzymują ze Stanów miliardy dolarów w postaci pomocy i wsparcia militarnego. Okazuje się jednak, że niekoniecznie. Zarówno w Kairze, jak i w Ammanie jednoznacznie odrzucono amerykański pomysł. Król Jordanii Abdullah II w ostatnich dniach po raz kolejny potwierdził niezachwiane stanowisko wobec przesiedleń, a egipski prezydent Abdel Fattah el-Sissi odwołał planowaną wcześniej wizytę w Waszyngtonie. Ministerstwa spraw zagranicznych obu państw stwierdziły, że ludność palestyńska powinna mieć zagwarantowane prawo do pozostania w swojej ojczyźnie.

Lansując pomysł z góry skazany na niepowodzenie, Trump doprowadził do skłócenia z ważnymi arabskimi sojusznikami. Jordania na mocy porozumienia z 2021 r. przyznała Stanom prawo do wprowadzania na teren tego kraju wojsk lądowych, powietrznych i morskich. Trump pogorszył sobie też stosunki z krytyczną wobec jego zamierzeń Arabią Saudyjską, grzebiąc tym samym swoje poprzednie plany unormowania stosunków między Arabią i Izraelem. Saudyjskie władze oświadczyły, że nie nawiążą stosunków dyplomatycznych z Izraelem, dopóki nie zostanie utworzone suwerenne państwo palestyńskie ze stolicą w Jerozolimie Wschodniej. Swoją cegiełkę dołożył tu również Binjamin Netanjahu, mówiąc, że Arabia Saudyjska ma tak duże terytorium, że mogłoby tam zostać utworzone państwo palestyńskie.

Wynikałoby z tego, że dla amerykańskiego prezydenta od jego pokojowych zamysłów ważniejsza jest wojenna przyjaźń z Izraelem. Faktycznie, ze wszystkich państw jedynie Izrael poparł przesiedleńczy pomysł Trumpa.

Israel first

Na tym tle symptomatyczne jest stanowisko Polski. Zapytany o to na konferencji prasowej wiceminister spraw zagranicznych Andrzej Szejna w dyplomatyczny w jego mniemaniu sposób odpowiedział, iż

jeśli Donald Trump coś zaproponował, to musi być przedyskutowane i należałoby to traktować jak punkt wyjściowy do negocjacji. Nasuwa się w tym momencie pytanie: co i z kim negocjować? Czy z Egiptem i Jordanią, które nie życzą sobie przesiedleń i żadne negocjacje ich stanowiska nie zmienią? A może z Palestyńczykami, dokąd mieliby być wysiedleni?

To tak, jakby kucharz negocjował z jagnięciem, w jakim sosie ma być uduszone. Cała ta sprawa nasuwa nieodpartą analogię z problemem alokacji uchodźców i imigrantów na terenie Europy. I tu, podobnie jak w przypadku Palestyńczyków, traktowani są oni jak pudła, które można sobie dowolnie przesuwać z miejsca na miejsce.

Idąc na konfrontację z resztą świata, Trump zdaje sobie sprawę z tego, że jego jedynym liczącym się na świecie sojusznikiem jest Izrael. Dlatego też robi co może, aby tego sojusznika hołubić. Stany Zjednoczone zadecydowały o cofnięciu liczonej w milionach dolarów pomocy finansowej dla RPA za to, że władze tego kraju skierowały do Międzynarodowego Trybunału Karnego wniosek przeciwko Izraelowi z oskarżeniem go o ludobójstwo wobec ludności palestyńskiej. Nie dość tego. Trump wydał dekret nakładający na członków Trybunału, jego pracowników i ich rodziny standardowe sankcje: zakaz wjazdu na teren USA oraz zamrożenie aktywów. Zdaniem Trumpa Trybunał zaangażował się w bezprawne i pozbawione podstaw działania skierowane przeciwko izraelskiemu sojusznikowi.

Ponadto działając w interesie Izraela, USA odgrzebały spór z Teheranem, zapowiadając przygotowanie nowego dealu mającego na celu zablokowanie posiadania przez Iran broni jądrowej. Przy czym amerykański prezydent ostrzegł Iran, że jeśli odmówi podpisania porozumienia, może dojść do bombardowania. Zastrzegł jednocześnie, że takiej sytuacji chciałby uniknąć. Z ofertą mediacji pomiędzy Waszyngtonem i Teheranem wystąpiła Arabia Saudyjska mająca co najmniej poprawne stosunki z obu państwami. Nie wiadomo jednak, jak zareaguje na to Trump, który ma ambicje przewodzenia negocjacjom, a nie występowania w bardziej podrzędnej roli ich uczestnika.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

Rys. TOMASZ ROGOWSKI

---

wania interfejsu mogących wprowadzać użytkowników w błąd co do zgody na przetwarzanie danych. Do tego dochodzi zwiększenie konkurencji i zapewnienie większej przejrzystości platform cyfrowych w UE. Wiewiórki donoszą, że już niebawem w wyniku działań administracji Trumpa podstawa prawna do przekazywania danych europejskich użytkowników amerykańskim podmiotom może lec w gruzach. W Monachium Ameryka powiedziała wprost, że ma smak na więcej i chce to dostać natychmiast.

Pod prądem

Podczas gdy unijni przywódcy z namaszczeniem memlą o mówieniu jednym głosem i zaniechaniu polaryzacji, ta druga dla Big Techów jest bezcenna. Powód jest prozaiczny – ferment w mediach społecznościowych napędza klikalność, a ta zyski. Amerykański konglomerat technologiczny marzy o monopolu na sztuczną inteligencję i ma go w zasięgu ręki. Kto ma AI, ten ma władzę.

Nie ma i długo nie będzie potężniejszego narzędzia decydującego o skoku cywilizacyjnym. Pozbawienie rynku konkurencyjności doprowadzi do pogłębienia dominacji dwóch, trzech podmiotów, które będą mogły narzucać swoje warunki dostarczania usług i windować ceny. Big Techy potrzebują gargantuicznych zautomatyzowanych centrów danych. AI wymaga gigantycznych mocy obliczeniowych, a co za tym idzie zasobów lokalnych sieci energetycznych i wody do chłodzenia. Nazwanie każdej próby unijnej pacyfikacji cyfrowych zapędów zza oceanu ograniczaniem wolności słowa to strzał w dychę.

Amerykanie, trzymając UE za mordę argumentami o opuszczeniu NATO i puszczaniem oczka do Putina, uklepują sobie grunt do technologicznej pacyfikacji Europy kosztem jej obywateli i środowiska naturalnego.

Jak na tę chłostę zareaguje Europa? Trudno wyczuć, szczególnie że czasu na kalkulacje nie ma zbyt wiele. Jedno jest pewne: Polska, podpisując list intencyjny między Polskim Funduszem Rozwoju, Operatorem Chmury Krajowej i Google Cloud na śmieszną inwestycję w rozwój kompetencji AI za cenę dostępu do krajowych firm i administracji, przy namaszczeniu premiera Tuska, jako pierwsza rozwarła pośladki przed cyfrowym najeźdźcą.

IDALIA DUBICKA

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Tygodnik „Polityka" cytuje przedstawicieli ukraińskiej administracji, którzy wciąż nie mogą się pogodzić z nową polityką Białego Domu: *O rozmowach w Arabii Saudyjskiej na temat zawieszenia broni dowiedzieliśmy się z mediów. Tak samo jak o tym, że negocjatorzy z USA i Rosji mają omawiać tam spotkanie trójstronne z naszym udziałem. Gramy w dziwną grę, której zasad nie znamy.* To może czas zakończyć tę grę i zadeklarować chęć podpisania porozumienia pokojowego?

☆ Podczas gdy w Arabii Saudyjskiej negocjowali rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow i sekretarz stanu USA Marco Rubio, w Paryżu został zwołany szczyt europejskich przywódców poświęcony sytuacji Ukrainy i bezpieczeństwu Europy. Najważniejszą wiadomością, która popłynęła z Paryża, był plan zwołania dwa dni później kolejnego szczytu poświęconego temu samemu. Jak informuje „Rzeczpospolita": *Wśród krajów, które mają uczestniczyć w [kolejnym] szczycie, znalazły się: Norwegia, Litwa, Estonia, Łotwa, Czechy, Grecja, Finlandia, Rumunia, Szwecja, Belgia oraz Kanada.* (…) *Ze względu na specyfikę spotkania udziału w nim nie weźmie Polska.* Może to i dobrze.

☆ Kampania wyborcza trwa, zatem po poniedziałkowym szczycie w Paryżu Donald Tusk twardo zadeklarował, że nie pośle żołnierzy na Ukrainę. Z Rosją można wszak walczyć innymi sposobami. Jak donosi Wirtualna Polska, władze Rzeczypospolitej postanowiły zadać potężny cios rosyjskiemu lotnictwu, a konkretnie samolotowi lecącemu z Egiptu do Kaliningradu, który ze względu na warunki atmosferyczne musiał lądować w Polsce. Maszyna została uziemiona na poznańskim lotnisku, a dyrekcja lotniska oraz przedsiębiorstwo Orlen Aviation przez 13 godzin heroicznie bronili Polski przed rosyjskimi wpływami, odmawiając Rosjanom sprzedaży paliwa umożliwiającego dalszy lot. *Losem pasażerów, którzy do Kaliningradu wracali z egipskich letnich kurortów, nikt się nie przejął. Kapitanowi długo nie udzielano pozwolenia na start. Przez 13 godzin nikomu nie było wolno opuścić pokładu maszyny. Wśród pasażerów* (…) *było wiele dzieci, osób starszych i kobiet w ciąży* – donosi Wirtualna Polska. Dodajmy, że pasażerom nie dostarczono wody, jedzenia oraz nie zezwolono na korzystanie z lotniskowej toalety.

☆ Portal Onet ujawnił kulisy zorganizowanej w czerwcu 2022 r. wystawy „Za wolność naszą i waszą", w ramach której po Polsce obwożono wraki rosyjskich czołgów: *Ekspozycja cieszy się dużym zainteresowaniem. By zobaczyć zniszczony przez Ukraińców rosyjski sprzęt, na pl. Zamkowy przychodzą istne tłumy. Ludzie przyglądają się rozbitym pojazdom, robią zdjęcia, rodzice tłumaczą dzieciom, jak to się stało. W ciągu kilku następnych miesięcy wystawa pokazywana jest w kolejnych polskich miastach. W lipcu odwiedza Wrocław, później Poznań i Gdańsk* (…). *Po zmianie władzy nowe szefostwo RARS postanowiło bliżej przyjrzeć się temu sprzętowi, by ustalić m.in., co można z nim dalej zrobić. W trakcie ustalania, do kogo właściwie należą obecnie te wraki, pracownicy agencji usłyszeli od jednego z podmiotów współorganizujących wystawę w jednym z miast: „A widzieliście, że w jednym z wraków turlają się granaty?". Pracownicy RARS powiadomili o tym policję, a ta wezwała na miejsce saperów. Ci przeszukali wraki. – Saperzy rzeczywiście potwierdzili, że we wrakach znajdują się materiały niebezpieczne, w tym granaty i amunicja. Nie mieli wątpliwości, że zawierały elementy, które mogły doprowadzić do eksplozji. Saperzy podjęli je z pojazdów, zabezpieczyli i wywieźli w bezpieczne miejsce. Z przekazanych przez nich informacji wynika, że ich umiejscowienie i inne cechy wskazują na to, że mogły tam się znajdować dłuższy czas, również w czasie transportowania ich między miastami i w trakcie prezentacji podczas wystaw – słyszymy od naszego informatora.* Organizacja wystawy kosztowała ponad 700 tys. zł, ale przynajmniej dowiedzieliśmy się, że w Donbasie walczą za wolność naszą i waszą.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 9557e356c8

Kolonialna wojenka

Po szczycie w Monachium

Rys. JANUARY

Po dorocznej Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa polski komentariat zadrżał w posadach. W UE, a zatem i w Polsce, po latach nienazwanej amerykańskiej dominacji na salony wraca niechęć do Wujka Sama. Polaryzująca logika systemu poskutkowała utworzeniem dwóch zwalczających się – ale równie głupich – obozów rodem z dziewiętnastowiecznych kolonii: lojalistów imperium zza wielkiej kałuży i orędowników oderwania się Europy od USA. *Explicite* wyraził to Jarosław Kaczyński na portalu X: *Polska* (…) *albo będzie liderem budowy europejskiego porozumienia z administracją Donalda Trumpa, albo będzie inspirować siły antyamerykańskie w Europie. Tusk* (…) *woli być liderem antyamerykańskiej europejskiej rebelii.*

Była to replika do komentarza polskiego premiera, który pouczył J.D Vance'a, iż każdy, kto cytuje słowa Jana Pawła II „Nie lękajcie się!", powinien pamiętać, że miały one na celu wzmocnienie narodu polskiego w jego oporze przeciwko rosyjskiej dominacji. Ponadto Tusk powtórzył za Zełenskim, że Bruksela może niektórych frustrować, ale jak nie będzie Brukseli, to przyjdzie Moskwa.

Towarzysze Tuska zapragnęli zaś (od)budowy europejskiego imperium. *W Europie ma miejsce* (…) *pogłębiająca się chęć integracji w imperium.* (…) *Po milenium od koronacji Chrobrego znowu stajemy się jednym z głównych krajów kontynentu. Wielka Polska staje się faktem!* – napisał na portalu X były lider Młodzieży Wszechpolskiej, Roman Giertych.

O ile obóz władzy stara się przedstawić geopolityczne przetasowanie jako wielką szansę dla Polski – rzekomego lidera nowego europejskiego imperium – o tyle wtórujący mu na ogół front medialny popadł w histerię.

Publicysta „Gazety Wyborczej" Wacław Radziwinowicz obwieścił na antenie TVN24, że na naszych oczach dopełnia się *scenariusz marzeń Putina.* Były ambasador w USA Janusz Reiter stwierdził, że niepokojące i niedopuszczalne jest zapraszanie Rosji – największego i najludniejszego państwa Europy – do rozmów nt. architektury bezpieczeństwa na Starym Kontynencie. Ofensywę medialną rozpoczął także Roman Kuźniar z Uniwersytetu Warszawskiego. 71-letni profesor stosunków międzynarodowych był już w swej karierze miłośnikiem polityki zagranicznej Jana Pawła II, piewcą polsko-rosyjskiego resetu, zwolennikiem demokratyzacji Polski przez USA oraz krytykiem ekspansji NATO. W ostatnich tygodniach lubuje się zaś w przezywaniu kolejnych amerykańskich oficjeli i propagowaniu polskiego zaangażowania na Ukrainie – gdy już zwyzywał Elona Muska od „łobuzów", a wiceprezydenta USA od „chłystków", zagrzmiał na antenie RMF FM: *Co, jedynie Polaków miałoby nie być?! Tacy tchórze jesteśmy?! Na Boga! To chyba nie w naszym kodeksie honorowym.* Podobne tezy, choć mniej egzaltowanym tonem, wygłasza Witold Jurasz z Onetu.

Równie głupio, lecz mniej wylewnie, jest po drugiej stronie barykady. Komentujący wystąpienie Vance'a pławili się w zachwycie nad Amerykaninem. Przemysław Czarnek na swoim profilu na X cytował słowa o zagrożeniach tkwiących we wnętrzu Europy i odwrocie od „najbardziej podstawowych wartości". Były minister jest także zachwycony inicjatywą pokojową Trumpa, wszak zakończenie walk jest podstawowym warunkiem rozwoju Ukrainy. Być może pod wpływem patrona zza oceanu dotychczas najbardziej antyrosyjska partia stanie w awangardzie nowego resetu.

Komentatorzy skupieni wokół PiS także stanęli murem za administracją prezydenta USA. Z Telewizji Republika dowiedzieć się można, że J.D. Vance swoim przemówieniem przywrócił fundamentalne znaczenie słowa „demokracja". Wrogów Trumpa jął demaskować Bronisław Wildstein, który zasugerował powstanie antyamerykańskiego spisku niemiecko-rosyjskiego, który *tym razem będzie usprawiedliwiony tym, że „Trump nas zostawił". Z jednej strony będziemy mieć do czynienia z opowieściami o osamotnionej Europie, która musi stać się silna i zapomnieć o Stanach, z drugiej, że w obecnej sytuacji musimy na nowo ułożyć sobie stosunki także i z dotychczasowymi wrogami, nie tylko z Rosją, ale także ich najważniejszym dziś sojusznikiem, Chinami.*

Proamerykańscy intelektualiści na wszystkie sposoby próbują czynić koncyliacyjne wobec Rosji wypowiedzi amerykańskiego prezydenta bardziej strawnymi dla antyrosyjskich Polaków. Kilka dni temu pisowski mędrzec prof. Andrzej Nowak przez pół godziny tłumaczył swym miłośnikom, że prezydent Rosji wprawdzie jest bandytą, brak mu wiarygodności i szykuje się do podboju Polski, ale ocalić Rzeczpospolitą może już nie wojująca Ukraina, lecz poskromienie krwawego Putina przez dobrego Donalda z Waszyngtonu i natychmiastowe zakończenie walk nad Dnieprem.

Po Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa polską klasę polityczną rozdarł zatem kolejny spór – czyim być wasalem? Brukseli czy Waszyngtonu? Ponad podziałami pozostało tylko pragnienie tkwienia w podległości.

HUBERT CEZARY WYSOCKI

PLURALIS MAIESTATIS

Małpia kuracja

Nie strasz, pan, nie strasz…

Rys. MARCIN CHUDZIK

14 lutego pomyślałam, że nadmiar miłości mi zaszkodził, bo oto przy śniadaniu zobaczyłam na monitorze tytuł: „Atak drona na Czarnobyl". Czarnobyl? Zwykle kiedy Ukraińcom nie idzie, to ich macherzy od propagandy ogłaszają „atak drona na Zaporożu", tj. jebnęło w Elektrownie Jądrową Zaporoże (ZNPP). Elektrownia płonie, zaraz będzie koniec świata. Po kilku godzinach Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej (MAEA) informuje, że poziom promieniowania po eksplozji pozostaje normalny. Rzecz jasna dwa najważniejsze przekazy to tak czy siak zafrasowana twarz Zełenskiego i obowiązkowe info, że dron był rosyjski.

Nie wiem, czy to Rosjanie powinni się obrazić, że Ukraińcy mają ich za kretynów, czy może po minionych walentynkach cała Europa powinna to zrobić z tego samego albo bardzo podobnego powodu. Europejczycy, czy jesteście kretynami? I napiszę jeszcze: propagandziści, oddajcie forsę za bilety oraz abonamenty! Popcorn zjełczały, fotel niewygodny, film do bani, gwiazdor przejrzały. Czarnobyl, kurwa! To sobie państwo wymyśliliście – pokojową przeszkodę.

Rosyjski dron spowodował poważne uszkodzenie sarkofagu nad reaktorem elektrowni jądrowej w Czarnobylu, zniszczonym w katastrofie w 1986 r. – rzekł główny inżynier obiektu, Ołeksandr Tytarczuk. – *Bariera, która miała zapobiegać rozprzestrzenianiu się substancji radioaktywnych, przestała funkcjonować zgodnie z projektem* (za wp.pl, 14 lutego).

Ukraińskie oskarżenia pod adresem Rosji, że to nasze drony uszkodziły w nocy z czwartku na piątek sarkofag elektrowni jądrowej w Czarnobylu, są prowokacją – odpowiedział rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow (za PAP, 14 lutego).

I to są dialogi? A gdzie suspens? A w ogóle to gdzie ten Czarnobyl leży na mapie? Gdzie jest takie… państwo?

Zdesperowana ukraińska propaganda najwyraźniej liczy na to, że szereg młodych widzów oglądało amerykański-brytyjski serial produkcji HBO z roku 2019 pod tytułem „Czarnobyl". Z dziadkami albo rodzicami.

Czarnobyl to hasło straszak, które może poruszyć kiszki tylko roczników urodzonych przed latami 80. zeszłego wieku. Pokolenie Z ma nań wyjebane.

Inna sprawa, że Zełenski do pokolenia Z nie należy, ale oczekuje, że ukraińskie zetki dadzą się za jego pomysły zabić bądź okaleczyć. Nie wspomnę o tym, że podobne oczekiwania co do zetek miał amerykański prezydent Joe Biden. Choć jego hasłem wywoławczym powinna być „Hiroshima" a nie „Czarnobyl". I w sumie wsio rawno, czy mam na myśli wybuch jądrowy w japońskim mieście czy piosenkę niejakiej Sandry, hit z 1990 r. Jak by nie patrzeć – prehistoria.

Skończcie już tę wojnę! Skończcie już tę wojnę. Człowiek w wieku średnim ma ochotę spokojnie, klikając w geriatrycznego Facebooka, wypić pierwszą kawę. Wysrać się, dostojnie a snobistycznie szeleszcząc gazetą albo chociaż gazetką reklamową z Kauflanda. Tak nam dopomóż Trump.

Nie powinniśmy się bać antyruskiej propagandy, antyukraińskiej też nie za bardzo. To, co powinno nas przerażać, to przemoc i frustracja, niespełnialny bieg po sławę i pieniądze, popierdolony konsumpcjonizm – i wynikająca z tego wszystkiego głęboka rozpacz nagich małpek zwanych młodzieżą. Ona krwawą biegunką wylewa się z krótkich filmików – czy to na Iksie, czy na TikToku. To ta dzieciarnia ma wszelkie możliwości, aby nas wykończyć – żaden Putin. Tyle że jeszcze się nie połapała, iż może…

Ich nowa przemoc jest gorsza niż nasze stare machloje. Zatańczmy więc tango z ruskim niedźwiedziem, a dalej albo benefis, albo ostatnia próba wychowania ludzkich małp juniorów – do życia, a nie do umierania.

IZABELA SZOLC

eprasa.pl 9557e356c8

Brutalne rozważania nad niemoralnością

Trampki i cysorze

A miało być tak miło! W XIX w. wymyślono taki świat, w którym państwa będą własnością narodów, i to narodów suwerennych. Gdyby natomiast dla jakiegoś narodu zabrakło odrębnego państwa (czyli sąsiedzi nie zechcieli mu przyznać suwerenności), to mógłby on przynajmniej w ramach większego państwa narodowego zostać mniejszością z gwarantowanymi prawami, a nawet uzyskać autonomię regionalną. Te nowe państwa narodowe miały przestrzegać praw człowieka, być demokratyczne i pokojowo nastawione, a przede wszystkim szanować się wzajemnie i respektować swoje prawa (w tym niezbywalne prawo do terytorialnej integralności), niezależnie od tego, czy chodzi o wielkie mocarstwo, czy może malutkie państewko, które można objechać rowerem w pół dnia. Cały ten pomysł opierał się na dość kontrowersyjnej idei, że chłop czy pan to nieważne, ale ważne, że przenika ich jeden duch narodowy i tak jak pan (a może i chłop) ma prawo do swej ziemi, to naród także.

Niestety, system za dobrze nie zadziałał. Granice nowych państw narodowych trzeba było ustalić w tradycyjny sposób, to znaczy metodą wojenną, czy też raczej metodą militarnych faktów dokonanych. Z demokracją to jak cię mogę, a za to na potęgę namnożyło się, jak świat długi i szeroki, nacjonalistycznych dyktatur, podsycających w obywatelach nienawiść do sąsiadów, nierzadko razem z niejakimi pretensjami terytorialnymi.

Mimo defektów całego tego systemu jakoś udało się go zainstalować na tyle mocno, że przynajmniej w Europie w zasadzie skończyły się wojny. Ale też nie do końca, bo Bałkany, jak wrzały, tak nadal wrą, a w dodatku teraz rozłożyste i uparte imperium rosyjskie obudziło się po paru otrzymanych ciosach i pragnie się odbudować. I czy jest w tym coś dziwnego?

Nie, nie ma. Świat i natura ludzka nie zmieniły się od tego, że umówiliśmy się na koncepcję państwa narodowego, nienaruszalność granic i pokojowe rozwiązywanie sporów w oparciu o prawo międzynarodowe, a nie prawo silniejszego. Jest tak, jak zawsze było: silny przeprowadza swoją wolę, a słabszy musi się podporządkować. Co najwyżej słabszy w niektórych sytuacjach może sobie wybrać protektora. Zasada mówiąca, że suwerenność i samostanowienie nie zależą od potencjału państwa – a więc od takich czynników jak terytorium, ludność i zasoby – jest tylko idealistycznym postulatem nieco ułatwiającym prowadzenie dyplomacji i spowalniającym procesy prowadzące do wojny. Tylko tyle i aż tyle. Generalnie jednak historia toczy się dalej swoimi starymi koleinami.

Rys. WIDGET

Pewnego dnia potężny cesarz sięga po swoje, czyli po to, co już kiedyś mieli w garści jego poprzednicy, bądź po prostu po coś dającego się podbić i przejąć na własność. Nazywa się to „imperializm", choć w gruncie rzeczy nie ma nic bardziej naturalnego w polityce, jak władza oparta na sile i ekspansja. Bo trzeba wiedzieć, że aż do XIX wieku państwowość z zasady opierała się na empirycznie udowodnionej zdolności do sprawowania władzy na danym terytorium. A dowodem tym była zdolność danego państwa do przejęcia nad nim kontroli. I tyle. Żadne kwestie etniczne nie miały tu znaczenia. Rozbiory Polski wynikały po prostu z tego, że sąsiedzi byli silniejsi, bardziej zdolni do sprawowania funkcji przypisanych państwu niż popadające w anarchię królestwo.

No i teraz mamy problem etyczny. Można go nazwać problemem wilka w owczej skórze. Pytanie brzmi:

czy można wymagać od wilka, aby całe życie udawał owieczkę? Car Rosji napadł na sąsiednie państwo narodowe, powstałe niedawno na terytorium, które wszyscy carowie Rosji dotychczas mieli pod pełną kontrolą.

Cóż dziwnego, że aktualny cesarz największego terytorialnie imperium chce, żeby wszystko wróciło do normy? Nic dziwnego zgoła. Takie życie. W świetle ideologii suwerennych państw narodowych każda napaść jest oczywiście skandalem i pogwałceniem zasad ładu międzynarodowego. Tylko co z tego? Wilk wyszczerzył kły i rzucił się na ofiarę. Tak już wilki mają. I co na to świat? Świat się oburza, bojąc się, że imperator na tym nie poprzestanie i spróbuje podbić coś jeszcze. I słusznie się boi, i słusznie oburza. Tylko co z tego? Fakty są takie, że Putin siadł na Krymie i Donbasie i ich nie odda.

Czy moralność nakazuje nam negować fakty, nawet fakty bardzo niemoralne, czy też wręcz przeciwnie – musimy się do nich dostosować? Rozsądna odpowiedź brzmi chyba tak: trzeba walczyć, póki się da, ale jak się już nie da, to przychodzi pora na porozumienie z siłami zła.

I chyba najgorsze w tym wszystkim jest właśnie to, że porozumiewanie się z siłami zła – czyli w tym przypadku z Putinem – wymaga pewnej uprzejmości i podawania sobie rąk. Paskudne to, poniżające dla ofiar (w tym przypadku – Ukraińców), ale niezbędne. Cóż, imperator Ameryki nie ma z tym problemu. Jest wystarczająco cyniczny i prostacki, żeby sobie nie robić subiekcji. Putina wręcz podziwia za jego siłę i cesarski sposób myślenia.

I znów, tak jak właściwie zawsze, wielcy imperatorzy podzielą się spornymi terenami, siłą i interesem ustalając granice swoich włości i wpływów. Putin weźmie to, co już zdobył, a Trump położy łapę na kopalniach metali ziem rzadkich i wystawi ochroniarzy pilnujących bezpieczeństwa interesów podległych mu oligarchów. A co z Ukraińcami i ich państwem? Jakoś to będzie.

Ukraina zostanie czymś w rodzaju zaplecza Zachodu, rezerwuarem siły roboczej, a jednocześnie terytorium buforowym oddzielającym Rosję od NATO. Takie plany miały przed 30 laty USA wobec Polski. Udało się nam tego uniknąć, bo akurat Rosjanie z Polski wyszli. Ukraina tego przywileju nie ma. Zatrzymana w swym normalnym biegu historia pozwoliła Ukraińcom stworzyć własne państwo. To był istny cud. Teraz jednak walec historii znów ruszył i rozjechał wschodnią część terytorium młodego państwa. Takie jest życie i taka jest dziejowa norma. Silniejszy robi, co chce, a losy mniejszych narodów decydują się przy wódeczce w jakimś Monachium czy Paryżu. Oby tylko panowie świata okazali się ludzkimi panami.

JAN HARTMAN

Rosyjskie media o resecie à la Trump

Zawrót głowy od sukcesów

Donald Trump opowiedział się za szybkim zakończeniem działań wojennych. Władimir Putin zgodził się ze swoim amerykańskim odpowiednikiem i przypomniał o konieczności wyeliminowania pierwotnych przyczyn konfliktu – relacjonował na pierwszej stronie dziennik „Izwiestia". *Putin i Trump postanowili kontynuować rozmowy oraz zorganizować spotkanie „w cztery oczy". Trump może zostać także pierwszym prezydentem USA, który odwiedzi Rosję od 2013 r., kiedy wybuchł kryzys na Ukrainie…*

Niepewny miesiąc miodowy

Niektórzy komentatorzy nie potrafili powstrzymać entuzjazmu: *Świat powraca do znanego modelu nieunipolarnego. Nie będzie już dwubiegunowości: oprócz Rosji i Stanów Zjednoczonych Chiny mają uzasadnione roszczenia do roli kolejnego lidera geopolitycznego. Ale Europa może zapomnieć o globalnych ambicjach. Ona znów musi szukać sojuszników, a raczej protektorów, i działać w ich interesie. Jak to będzie wyglądać w praktyce? Zupełnie jak dziś na Ukrainie!* – pisał Anton Trofimow na łamach „Sowieckiej Rosji".

Z drugiej strony, w rosyjskiej prasie nie brakowało chłodniejszych analiz. Przodował w nich „Moskiewski Komsomolec": *Nagle rozpoczęty miesiąc miodowy w stosunkach z Waszyngtonem może równie nagle się zakończyć. Wszyscy pamiętają, że przed spotkaniem przywódców Rosji i USA w 2018 r. również pojawiało się wiele nadziei i oczekiwań, a ostatecznie stosunki między Rosją a Stanami Zjednoczonymi tylko się pogorszyły. Tym razem Trumpowi wystarczy szybkie rozwiązanie i tymczasowy rozejm, a Rosji potrzebny jest długotrwały stabilny pokój z gwarancjami bezpieczeństwa. „Nawet jeśli na końcu tunelu jest światło, to i tak nie sposób w nim niczego dostrzec"* – wzruszają ramionami sceptycy na Kremlu.

Z kolei znany z bojowego nastawienia komentator „MK" Dmitrij Popow przestrzegał (cytując Stalina) przed *zawrotem głowy od sukcesów*: *Radosne i bezwarunkowe przyjęcie tez Trumpa, że najważniejsze jest, aby ludzie przestali umierać, jest zdradą. W odniesieniu do naszych poległych. Priorytetem nie powinno być zawieszenie broni, ale osiągnięcie celów specjalnej operacji wojskowej. Gdyby było inaczej, to zasadnym pytaniem byłoby: po co w ogóle zaczęliśmy? Do zwycięstwa jeszcze daleka droga, za wcześnie, aby bezmyślnie się cieszyć.*

Vance wychłostał wasali

Nie minęło kilka dni od rozmowy Trumpa z Putinem, a tematem nr 1 (także w Rosji) stała się Monachijska Konferencja Bezpieczeństwa. Furorę w rosyjskich mediach zrobiło wystąpienie Jamesa D. Vance'a. *Wiceprezydent USA stwierdził, że państwa europejskie stoją w obliczu kryzysu będącego wynikiem ich własnych działań. Według amerykańskiego polityka największym zagrożeniem dla Europy są nie Chiny i Rosja, lecz sama Europa. Vance wspomniał także o unieważnionych wyborach w Rumunii. – Podobne zagrożenie istnieje w Niemczech – stwierdził wiceprezydent USA* – relacjonował tygodnik „Argumenty i Fakty".

Europa została upokorzona i znokautowana. Amerykański pan wychłostał starych wasali – komentowała na gorąco „Komsomolska Prawda".

Z kolei profesor moskiewskiej Wyższej Szkoły Ekonomicznej Dmitrij Nowikow na łamach „Izwiestii" określił konferencję mianem historycznego wydarzenia. Jak zauważył, w ostatnich latach w Monachium snuto narracje wymierzone w Rosję i jej sojuszników, a tymczasem przemówienie J.D. Vance'a *uderzało wprost w samych Europejczyków i stało się największą sensacją tegorocznej konferencji.* Nowikow zwrócił jednak uwagę, że wystąpienie wiceprezydenta *nie oznacza końca strategicznej rywalizacji USA z Rosją.*

Konflikty interesów są tak wielkie, że nie znikną natychmiast, nawet przy zmianie nastrojów w Waszyngtonie. Na tym tle należy uznać za przesadę mówienie o „triumfie Moskwy". Jedyną osobą, dla której Monachium było prawdziwym triumfem, był sam J.D. Vance – czytamy w „Izwiestiach".

Korespondencje z Monachium uzupełniono pozytywnymi dla Rosji i negatywnymi dla Ukrainy informacjami wynikającymi ze zmian w polityce zagranicznej USA. Dziennik „Kommiersant", powołując się na „The Sunday Telegraph", doniósł o narastającej frustracji zachodnich dowódców wobec Ukraińców marnujących sprzęt NATO i pozostawiających broń na polu bitwy. *Armia rosyjska ma prawdopodobnie więcej systemów przeciwrakietowych Javelin niż armia brytyjska* – cytował londyńskie źródła „Kommiersant". Z kolei „Komsomolska Prawda" z nieskrywaną satysfakcją pisała o fiasku negocjacji Ukrainy w sprawie złóż: *Pobyt Zełenskiego w Monachium zakończył się całkowitą klapą. Zełenski zaplanował na wieczór rozmowy z wiceprezydentem USA, podczas których mieli podpisać umowę w sprawie zasobów metali ziem rzadkich na Ukrainie. Wcześniej strona ukraińska poprosiła o czas na przeczytanie tekstu i wprowadzenie własnych poprawek. Zełenski postanowił poprawić umowę, dopisując tam coś o gwarancjach bezpieczeństwa. Vance dowiedziawszy się o tym, zakończył spotkanie jeszcze przed jego rozpoczęciem.*

Ekonomiczny dziennik „RBK" pisał o znaczącym wzroście wartości rubla. Z kolei „Komsomolska Prawda" informowała czytelników, że jeśli wysoki kurs się utrzyma, to potanieją zagraniczne wakacje, importowane samochody i sprzęt elektroniczny. Niestety nie potanieją kwiaty na 8 marca, gdyż – jak powiedziała „Komsomolskiej Prawdzie" prezes Stowarzyszenia Rosyjskich Florystów Walentina Safronowa – *importowane kwiaty zostały już dawno opłacone, więc obecne umocnienie rubla w żaden sposób nie wpłynie na ich ceny.*

Szaleni, nieślepi

Podczas gdy Rosja żyje negocjacjami Putina i Trumpa, w Pekinie – przedstawianym jako najważniejszy sojusznik Moskwy – o sprawie pisze się zdawkowo. Największe gazety przedrukowywały krótkie informacje państwowej agencji prasowej i oświadczenie chińskiego MSZ, który wyraził zadowolenie ze wznowienia dialogu amerykańsko-rosyjskiego.

Znacznie bardziej wylewny był inny sojusznik Rosji – Kuba. Publicystka organu Związku Młodzieży Komunistycznej „Juventud Rebelde" Marina Menendez zwróciła uwagę, że choć ekipa Trumpa to okrutni prawicowi imperialiści, to z drugiej strony obecne rozmowy zmierzają w słusznym kierunku, a *polityka republikańskiej administracji jest wprawdzie szalona, ale wygląda na to, że nie jest ślepa.*

Najbliższy sojusznik Rosji – co nie zaskakuje – także cieszy się z rozmów rosyjsko-amerykańskich: *Rozmowę telefoniczną można bez wątpienia uznać za pozytywny krok w kierunku rozwiązania nie tylko konfliktu rosyjsko-ukraińskiego, ale także szerzej nieporozumień między Moskwą a Waszyngtonem* – napisała „Sowiecka Białoruś". Gazeta zdążyła jeszcze opublikować artykuł sugerujący, że najlepszym miejscem potencjalnych negocjacji pokojowych byłby Mińsk, lecz już kilka godzin później gruchnęła wiadomość, że zamiast Białorusi wybrano Arabię Saudyjską, gdzie w poniedziałek spotkali się szefowie dyplomacji Rosji i USA.

Trump musi pokazać, że Arabia Saudyjska jest ważna dla interesów Waszyngtonu – nie tylko w regionie, ale i poza nim – tłumaczył w rozmowie z „Izwiestiami" orientalista Leonid Cukanow. – *Ten krok wpisuje się również w logikę pogłębiania strategicznego partnerstwa między Stanami Zjednoczonymi a Arabią Saudyjską.* Gazeta cytuje też bliskowschodniego wysłannika Waszyngtonu Steve'a Witkoffa, który ujawnił, że saudyjski następca tronu pośredniczył w niedawnej amerykańsko-rosyjskiej wymianie więźniów i jest *silnie zaprzyjaźniony z Donaldem Trumpem.*

Spotkanie przebiegło bez zaskoczeń. Jak podaje „Kommiersant", uzgodniono powołanie specjalnych grup negocjacyjnych, normalizację działalności ambasad i rozpoczęcie przygotowań do spotkania Putina z Trumpem. Z kolei „Moskiewski Komsomolec", powołując się na źródła amerykańskie, ustalił, że plan pokojowy na Ukrainie zakładałby pierwotnie zawieszenie broni, a następnie – już po wyborach prezydenckich nad Dnieprem – finalizację porozumienia pokojowego.

Время покажет. Lub jak kto woli: *time will tell*.

MAREK SANOWSKI

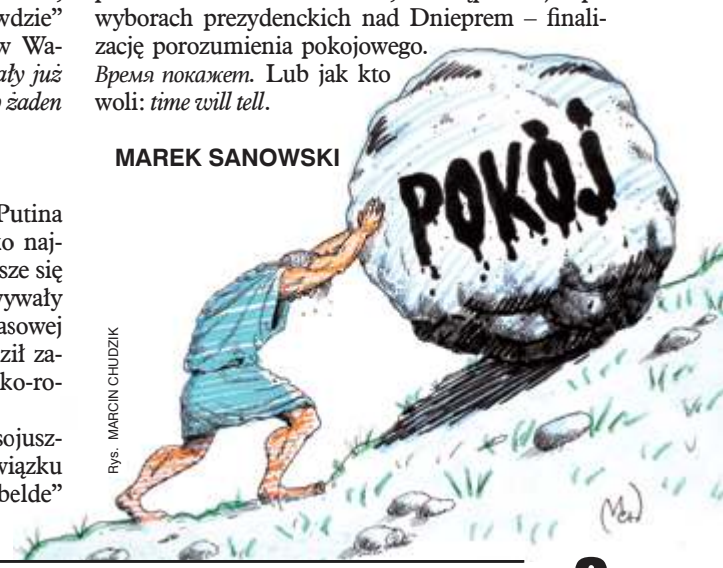

Rys. MARCIN CHUDZIK

eprasa.pl 9557e356c8

80 lat od zakończenia II wojny światowej prawda ustępuje miejsca polityce

Mity historyczne

Historia każdego narodu i państwa obrasta mitami. Historia Polski w szczególności – ze względu na bardzo powikłany jej bieg. Mity bywają dwojakiego rodzaju: jedne powstały z niewiedzy, inne na polityczne zamówienie.

Te pierwsze zazwyczaj dotyczą prehistorycznej przeszłości lub jej pogranicza. W przypadku Polski to nie tylko baśnie o Popielu i myszach, lecz też o wydarzeniach skądinąd realnych. Przez wieki całe wierzono u nas, że chrześcijaństwo przyjęliśmy z Dobrawką od Czech, aby uniknąć chrystianizacji rodem z Niemiec, naszego ponoć odwiecznego wroga. Historycy profesjonalni też tak sądzili i pisali. Skąpość przekazów źródłowych o tym wydarzeniu otwierała pole dla fantazji. Dziś już wiemy, że to mit. Czechy nie mogły patronować żadnej wielkiej misji chrystianizacyjnej, gdyż nie miały jeszcze własnego biskupstwa, a ich królestwo też było lennem cesarstwa rzymskiego, od czasów Karola Wielkiego pod berłem dynastii Franków niemieckich i ich następców. Do nas więc chrześcijaństwo przyszło z Niemiec, a młode państwo Piastów polskich długo pozostawało w lennej zależności od cesarstwa. To niemieccy Ottonowie decydowali o nadaniu korony miejscowym książętom. Według opinii dzisiejszych historyków Niemcy przez wieki nie były dla Polski „śmiertelnym" wrogiem, a średniowieczny Drang nach Osten – niemiecka kolonizacja polskich miast – odbywał się na zaproszenie polskich władców.

Rys. TOMASZ WIATER

Polskie mity drugiego rodzaju – te współczesne, instrumentalnie polityczne – wiążą się prawie w całości z II wojną światową. Powiadają, że pierwszą ofiarą każdej wojny jest prawda. W Polsce to porzekadło znalazło szczególne potwierdzenie w odniesieniu do wojny i lat bezpośrednio po niej.

Kłamliwe mity, które wtedy się narodziły i zagnieździły, były konsekwencją sporów politycznych o losy sprawy polskiej w czasie wojny oraz o rezultat wojny w odniesieniu do Polski. Były instrumentalne w swej treści i genezie.

Dla produkowania i propagowania tych mitów w III RP powołano nawet – z inicjatywy partii posolidarnościowych – coś w rodzaju orwellowskiego ministerstwa prawdy w postaci Instytutu Pamięci Narodowej. Wydawałoby się jednak, że 80 lat po wojnie nastał czas wygaszania zmyśleń. Wymierają ostatni uczestnicy spornych wydarzeń i na renty odchodzą politycy żywo nimi zainteresowani. Do głosu zatem powinni dojść profesjonalni historycy i prawda oparta na faktach i źródłach.

Przebieg pierwszych obchodów rocznicowych nie nastraja pod tym względem optymistycznie. Mity mają się zupełnie dobrze, do tradycyjnych dochodzą nawet nowe. Należy je tropić nie tylko w interesie historycznej prawdy, lecz przede wszystkim w interesie współczesnej kultury politycznej, która nie rozwinie się i nie obroni w wobec zalewu oficjalnie nobilitowanych kłamstw. Spójrzmy pod tym kątem na obchody pierwszych ważnych narodowo i międzynarodowo rocznic owego 80-lecia.

17 stycznia minęła 80. rocznica wyzwolenia spod hitlerowskiego panowania Warszawy, kompletnie zniszczonej i wyludnionej po nieudanym powstaniu, ale nadal ważnej jako symbol narodowej tożsamości i centrum administracyjne kraju. O tej rocznicy pies z kulawą nogą nie wspomniał – w sferach posolidarnościowych, oficjalnych i opozycyjnych, a nawet na lewicy. Dominuje wersja, że Warszawa została „zajęta", a nie wyzwolona przez Armię Czerwoną, okupację niemiecką zaś zastąpiła nowa, „sowiecka". Wersja bzdurna, której w ówczesnej Polsce nikt nie dawał wiary; nawet w środowiskach zdecydowanie antykomunistycznych. Zbyt kłóciła się bowiem ze zdrowym rozsądkiem. Jeśli Warszawa nie została wyzwolona w styczniu 1945 r., gdy żołnierze 1. Armii Wojska Polskiego przekraczali Wisłę po lodzie, aby już do dziś pozostać w tym mieście, to kiedy? Czy wtedy, gdy prezydent Wojciech Jaruzelski powierzył Tadeuszowi Mazowieckiemu misję utworzenia rządu? IPN twierdzi, że nie, bo to obaj postkomuchy. A może wtedy, kiedy na kilka miesięcy premierem został Jan Olszewski, a – nawet jak chciał Donald Tusk – w 1989 r. w Gdańsku? Bzdura goni bzdurę. Pozostają dwa wyjścia. Rozpaczliwe: omijać problem i żadnych wspominek o wyzwalaniu Warszawy nie organizować. I rozsądne: rozwiązać IPN i respektować prawdę faktów.

Inny przypadek niepotrzebnego konfliktu rzeczywistości historycznej z oficjalną poprawnością polityczną to niestety również obchody 80-lecia wyzwolenia obozu Auschwitz. Wspaniała organizacja i oprawa, mnóstwo gości zagranicznych, monarchowie i prezydenci, nieliczni żyjący więźniowie. Poruszające przemówienia. A jednak i tu zabrzmiała fałszywa nuta. W odróżnieniu od Warszawy wszyscy mówili o wyzwoleniu obozu, ale starannie omijali temat wyzwolicieli. Byli oni nie tylko nieobecni, lecz też anonimowi.

To, że radzieckich weteranów nie zaproszono – można usprawiedliwić. W obliczu wojny na Ukrainie wprawiłoby to w zakłopotanie i zaproszonych, i zapraszających, a także większość obecnych. Ale pominąć ich milczeniem to obraza historycznej prawdy, małostkowe żenujące kłamstwo.

Fakty są powszechnie znane. Armia Czerwona nie „zajęła" Auschwitz, lecz go wyzwoliła. Dowództwo 1. Frontu Ukraińskiego po zorientowaniu się, co Niemcy wyprawiają z tym obozem jeszcze w Krakowie zdecydowało sformować trzydywizyjną grupę uderzeniową z zadaniem otoczenia obozu i możliwie najszybszego wyzwolenia tych więźniów, którzy przeżyli.

Jedna z tych dywizji nosiła miano lwowskiej, co niektórym posłużyło za pretekst do tezy, iż obóz wyzwolili Ukraińcy. Jednak ta dywizja sformowana w 1943 r. w rejonie Wołogdy była etnicznie rosyjska, a miano dostała za zasługi w walkach o Lwów latem 1944 r.

Dywizje wydzielone do wyzwalania obozu zaopatrzono w odpowiednie zaplecze medyczne dla zorganizowania tam dwu szpitali polowych, które uratowały życie setkom chorych i wycieńczonych więźniów. Zgodnie współpracowały z krakowskim środowiskiem medycznym, które także utworzyło szpital. Można było znaleźć godne wyjście z kłopotliwej sytuacji, uszanować prawdę historyczną i nie uchybić okolicznościom dzisiejszym wywołanym napaścią zbrojną Rosji na Ukrainę.

Złożyć należny hołd i wyrazić wdzięczność czerwonoarmistom – wyzwolicielom obozu, których kilkuset poległo w bezpośrednich walkach o Auschwitz. Oni nic wspólnego z dzisiejszą wojną na Ukrainie nie mieli.

A jednocześnie wyrazić ubolewanie i żal, że państwo ich wnuków sprzeniewierza się ich zasłudze wyzwoleńczej tą agresją.

Warto też odnotować nieobecność na tych obchodach delegacji amerykańskiej na odpowiednio wysokim szczeblu. Wiceprezydent Vance zapowiadał swój udział, ale później się wycofał. Widać, że była to nieobecność rozmyślna.

Rola USA w pokonaniu hitleryzmu była nieco inna, ale porównywalna z radziecką. Stany też były wielkim wyzwolicielem tego obozu i do świętowania rocznicy mają tytuł. Ostatnie wydarzenia w relacjach amerykańsko-rosyjskich pozwalają domniemywać, że administracja Donalda Trumpa wolała nie komplikować sobie stosunków z Rosją uczestnictwem pod nieobecność Rosji w oświęcimskim przemilczaniu Armii Czerwonej, ze względu na czekające ją poważne negocjacje w sprawie Ukrainy. Z relacji Trumpa o jego ostatniej rozmowie z Putinem wynika też, że wspominano w niej o tradycji wspólnej walki z hitleryzmem. Wygląda na to, że wspólnota zwycięstwa sprzed 80 lat nie zostanie przemilczana, lecz odpowiednio uszanowana.

M.Z.

Bajki dla myślących

Gdybym tylko używała rozumu...

Co mi mówi sowa

Czy nie odnosisz czasem wrażenia, że większość naszych globalnych problemów wynika z tego, że ludzie unikają myślenia? Unikają myślenia, tak jak unika się ciężkiej fizycznej pracy albo monotonnych zajęć. Tak, tak, wiem, że pisząc to, naruszam jedno z wielkich tabu. Nie wolno bowiem powiedzieć – czy tym bardziej napisać – że ludzie nie myślą. Autorowi tych słów grozi wybuch fali publicznej agresji, internetowej inby oraz (w przypadku felietonistki) pozbawieniem ważnego, ratującego życie, acz nader skromnego honorarium. W nadziei, że mnie to nie spotka, dodam, że wiem, iż owe intelektualne ograniczenie dotyczy także (rzadko, ale...) mojej osoby.

Naruszenie tego tabu nie zmienia jednak faktu, że gdyby ludziska więcej i staranniej myśleli, życie na naszej planecie byłoby znacznie przyjemniejsze i zdecydowanie sensowniej zorganizowane.

No bo pomyślmy – może choćby o naszej tak zwanej demokracji. Czy gdyby wnikliwe myślenie było w powszechnej modzie, możliwe by było, aby całe społeczeństwa dały się tak jawnie robić politykom w balona w tak zwanych kampaniach wyborczych? Czy świadomość stosowanych manipulacji i wmawianych nam kłamstw nie byłaby impulsem do głosowania raczej przeciw niż za oferowaną w ten sposób polityką? Czy będąca wynikiem myślenia wiedza nie motywowałaby wyborców do wyboru racjonalnych opcji zamiast oferowanej ściemy?

Fatalne skutki dla polityki rozumianej jako narzędzia do „urządzania" naszego świata to tylko jeden z wielu przykładów dość powszechnej ludzkiej bezmyślności. Globalizacja oparta na natychmiastowej wymianie informacji i dezinformacji, charakteryzująca się niemożliwym do ogarnięcia nadmiarem tychże, wsparta została ostatnio sztuczną inteligencją. Tym samym problem fatalnych skutków globalnej ściemy i niewiedzy został podniesiony do kwadratu – pełna zadyma.

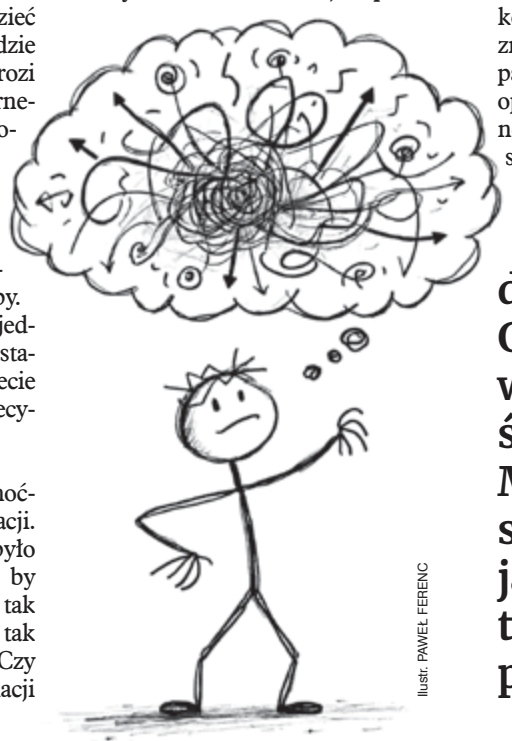
Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jeśli jest w tej sytuacji jakiś ratunek dla ludzkości (w co wątpię!), to taki, że należy zacząć myśleć.

Nie mam oczywiście dostatecznie kompleksowej wiedzy, co i jak należy zrobić w sprawie staczającej się w przepaść ludzkości – bo sama podlegam opisanym wyżej procesom intelektualnej ułomności – ale co jakiś czas przed snem słyszę, jak jakiś głos opowiada mi bajkę. Bajkę o mądrej sowie.

Siedzi sobie toto na drzewie i gada: – Głupia jesteś! Leniwa jesteś! Chcesz, by świat był lepszy? Musisz przyglądać się rzeczywistości i ją rozumieć. Bez tego błądzisz – więc pomyśl...

Po pierwsze: język. Świat języka to świat wirtualny. Posługujemy się językiem, czyli systemem symboli – są nimi słowa. Słowa próbują opisać rzeczywistość, ale nie są z nią tożsame. Mamy zatem dwa światy: świat języka (wirtualny) i świat rzeczywistości. Z powodu umysłowego lenistwa dostępny jest ci tylko ten pierwszy. Zawsze uproszczony, a często zakłamany. Gdybyś użyła większej części mózgu, byłabyś w stanie dostrzec, że nie zawsze słowa, jakie do ciebie docierają, właściwie opisują rzeczywistość. Za słowami-symbolami kryć się mogą bowiem czyjeś nieujawnione intencje. Słowa mogą też opisywać rzeczy wręcz nieistniejące. Mogą też okłamywać. No bo pomyśl: na przykład słowo „broń" sugeruje obronę, a częściej służy jednak do ataku niż obrony. „Media" nie zawsze służą porozumieniu. Częściej są narzędziem czyjegoś intencyjnego, jednostronnego przekazu. A słowo „Bóg"? Jego desygnat po prostu nie istnieje. Każdy, kto próbowałby to udowodnić, skazany jest na porażkę, bo naukowo można zbadać tylko to, co istnieje. Nie da się udowodnić, że czegoś nie ma. Musisz wyjść poza znaczenie słyszanego słowa-symbolu – musisz wysilić się i dotrzeć rozumem do rzeczywistości i jeśli trzeba, nazwać ją po nowemu. To trudne, ale jeśli chcesz, by świat był lepszy...

Po drugie: wartości. Zwróć uwagę, że wszystko, absolutnie wszystko można opisywać i oceniać z różnych punktów widzenia, przypisując zjawiskom i rzeczom jakąś pozytywną lub negatywną wartość. Opisując lub oceniając cokolwiek, ludzie bardzo rzadko ujawniają wprost wartości, jakie stoją za ich opiniami czy narracjami. Czasem owe wartości nie mogą być ujawnione, bo pozostają w nieświadomości autora opinii. Czasami związane są z utrzymywanymi w tajemnicy osobistymi interesami albo oderwaną od rzeczywistości wiarą. W ten sposób wobec każdego zjawiska czy rzeczy mogą zaistnieć argumenty za i przeciw. Ich znak +/- zależy jedynie od przyłożonych do tego wartości i przyjętego punktu widzenia. Dlatego tak często trudno ludziom zrozumieć się wzajemnie i porozumieć bez dokopania się do korzeni ujawnianych opinii i ocen – wartości, które za tymi opiniami stoją. Czasem nawet wzajemne zrozumienie nie prowadzi do porozumienia. Tak bywa wtedy, kiedy spotykają się wzajemnie sprzeczne wartości lub punkty widzenia – np. przykład ktoś kieruje się wyłącznie interesem osobistym, ignorując inne wartości, a kogoś innego motywuje głównie wartość dobra ogółu.

Rzadko kiedy docieram do końca umoralniającego wykładu sowy. Częściej zasypiam już w połowie. Dlatego pewnie nie jestem ani dobra, ani mądra i jeszcze nie naprawiłam świata. Ale wszystko przede mną.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl 9557e356c8

Trudny rok dla salcesonu

„NIE” rozmawia z **Pawłem Kostowskim,** autorem filmu „Egzorcyzmy polskie” oraz podcastu na YouTubie poświęconego zjawisku przemocy w instytucjach kościelnych.

– Jak często słyszysz, że jesteś opętany albo że służysz diabłu? Przeszedłeś przecież na „ciemną stronę mocy”.

– Słyszę rzadko. Czytam bardzo często. Głównie w komentarzach w internecie.

– „Egzorcyzmy polskie” obejrzało już prawie 350 tys. osób. Czy film wpłynął jakoś na rzeczywistość kościelną lub prawną? A może jednak to był kawał dobrej, ale nikomu niepotrzebnej roboty?

– Dla osób pokrzywdzonych ten film dużo znaczy. Jeśli chodzi o reakcję państwa polskiego, to skończyło się na kilku tweetach lewicowych posłów. Jestem zawiedziony brakiem dalszych działań, ale to tylko motywuje mnie do dalszej pracy na rzecz ujawniania przestępstw egzorcystów. Dostałem kilka ciekawych materiałów. Myślę, że to będzie trudny rok dla salcesonowych szamanów.

– Czy bohaterki twojego filmu nie spotkały żadne nieprzyjemności po jego publikacji? Do tej pory nie występuje przecież pod nazwiskiem ani nie pokazuje twarzy. Czy „wypędzacze diabła” to mściwe towarzystwo?

– Dbam o prywatność bohaterki mojego filmu i wszystkich osób, które powierzają mi swoje historie. Po premierze nic złego jej nie spotkało. Natomiast dawniej, kiedy ksiądz robił z niej widowisko w parafii, została pobita na ulicy i napadnięta w mieszkaniu.

– Jak trafiła do ciebie niemiecka ekipa telewizyjna Y-Kollektiv?

– Chyba „Więź” ją do mnie skierowała. „Więź” to otwartokościołowe towarzystwo. Taka lewica kościelna. Ogólnie jak do redakcji w Polsce zgłaszają się zagraniczni korespondenci z tym tematem, to dziennikarze często odsyłają ich do mnie jako do gościa dobrze zorientowanego, co się dzieje w egzorcystycznym półświatku.

– Autorzy niemieckiego filmu patrzą na egzorcyzmy jak na coś egzotycznego i wymarły folklor. Tymczasem w Polsce egzorcysta w każdej diecezji, zjazdy egzorcystów, ośrodek dla opętanych. Skąd ta przepaść między sąsiadami na mapie? Jesteśmy ostatnim bastionem katolicyzmu czy też zapóźnionym ciemnogrodem?

– Polska jest w ścisłej światowej czołówce, jeśli chodzi o liczbę egzorcystów. Mogą z nami konkurować tylko Włochy i ewentualnie jakieś kraje afrykańskie. Być może jesteśmy bastionem katolicyzmu, ale na pewno księża egzorcyści nie są naszymi najprzedniejszymi żołnierzami, sądząc po głupotach, które opowiadają. W Niemczech ogarnęli się dopiero po tym, jak zmarła młoda dziewczyna zagłodzona w czasie egzorcyzmów. Księża i jej rodzice zostali za to skazani w procesie karnym. Państwo zaczęło wymagać, żeby w czasie takich rytuałów obecny był świecki urzędnik. To znacznie ograniczyło zapał Kościoła do wypędzania diabła. Egzorcyzmy nie są formalnie zakazane, ale biskupi przestali mianować egzorcystów, a same rytuały praktycznie przestały się tam odbywać. Przynajmniej w Kościele katolickim. Bo jak pokazuje reportaż Y-Kollektiv, z szatanem aktywnie walczą jeszcze zielonoświątkowi protestanci.

– W jednym ze swoich podcastów gościsz dziewczynę, która była „pacjentką” ośrodka dla opętanych w zachodniej Polsce. Niewiele mnie już dziwi, ale to jest jednak nowość. Jak coś takiego może funkcjonować, kto na to pozwala i kogo tam trzymają?

– Ten ośrodek, o który pytasz, nie jest odpowiedni do trzymania tam ludzi na stałe. Raczej odbywają się tam pojedyncze egzorcyzmy, na które „pacjenci” sami przyjeżdżają lub są przywożeni przez rodziców, jak było z nieletnią gościnią mojego podcastu. Dawniej egzorcysta diecezjalny przyjmował w Szczecinie, ale później ta działalność przeniosła się do tego ośrodka w lesie.

Lepszy do trzymania ludzi na stałe był ośrodek w Koszalinie. To była hybryda: w jednym budynku jadłodajnia, schronisko dla bezdomnych oraz kilka pokoi, w których byli trzymani „opętani przez diabła”. Miała tam trafić na kilka lat bohaterka mojego filmu. Na szczęście ją to ominęło. Złapała infekcję dermatologiczną, która mocno ograniczyła zapał księży do wypędzania z niej szatana. Dyrektorem ośrodka w Koszalinie jest egzorcysta. Działalność charytatywna jest finansowana z grantu z budżetu miasta. Na szczęście nieograniczona władza egzorcysty w tym miejscu trochę osłabła, od kiedy pokłócili się z biskupem o pieniądze.

Jak to wszystko możliwe? Nie wiem. Znam katolickie ośrodki pomocowe, które funkcjonują wzorowo. Nie powinno to jednak powstrzymywać państwa polskiego, żeby przyglądać się, co dokładnie tam się dzieje z ludźmi i pieniędzmi publicznymi. To zawsze groźna sytuacja, jak stworzymy lokalnego imperatora z nieograniczoną władzą i pozostawimy bez nadzoru. Egzorcysta z Koszalina od lat publicznie chwalił się, że łączy w jednym budynku działalność charytatywną z modlitwą o uwolnienie od diabła. Zabrakło krytycznego spojrzenia na te rewelacje.

Fot. MARCIN GREGORCZYK

– Jak sądzisz: jaka jest skala zjawiska krzywdzących egzorcyzmów? O ile kwestię pedofilii kleru mamy już dość dobrze rozpoznaną, o tyle egzorcyzmy to wciąż niezbadany teren. Władze kościelne nie kwapią się do podawania danych.

– Uważam, że egzorcyzmy rzadko kiedy nie są krzywdzące. Nawet jeśli nie dochodzi do molestowania seksualnego, to istnieje ogromne ryzyko utwierdzania pacjentów psychiatrycznych w ich chorobach: nasilenie zaburzeń dysocjacyjnych, pogłębienie psychozy itd. Jeśli chodzi o skalę, to mamy w Polsce ok. 160 egzorcystów, którzy twierdzą, że mają pełne ręce roboty. I mówię tu tylko o Kościele katolickim, a przecież w ostatnich latach bardzo rosną w siłę czarownicy o rysie zielonoświątkowym.

– W filmie widzimy, że w Niemczech, jeśli ktoś się bierze za egzorcyzmy, to raczej nie katolicy. Tamtejszy Kościół od sprawy Annelise Michel ma dość takich problemów. Wspólnoty protestanckie zauważyły niszę. W Polsce też pojawiają się ludzie – np. Tomasz Dorożała – którzy w spektakularny, a nieraz memogenny sposób wypędzają złe duchy i uzdrawiają ludzi. Czy zgłaszają się do ciebie ludzie z doświadczeniami egzorcystów pozakatolickich?

– Czasami. Natomiast nie jestem tutaj tak biegły jak w sprawach katolickich. Na zielonoświątkowe nadużycia nie można przymykać oczu. Zwłaszcza że w najbliższych latach Kościół katolicki będzie słabł, a zielonoświątkowe zbory będą rosły.

– Prowadzisz batalię na kilku frontach. Oprócz egzorcystów masz też na celowniku szemrane wspólnoty katolickie, w tym – jak sam ją określasz – sektę ks. Łukasza Kadzińskiego. Niedawno sprawiłeś, że tygodnik „Do Rzeczy” musiał napisać prawdę – niestety tylko w ramach sprostowania, ale zawsze…

– Przez sześć lat byłem w sekcie założonej przez księdza. To doświadczenie przeorało moje życie. Walczę z Kadzińskim, żeby powstrzymać zło, które robi. Ale też próbuję naświetlić destrukcyjne mechanizmy, które działają identycznie w innych grupach.

Rozmawiał **ŁUKASZ PIOTROWICZ**

Diabeł mówi po niemiecku

Tym razem nie chodzi o Donalda Tuska

Kiedy niemiecka ekipa telewizyjna przyjeżdża do Polski, żeby porozmawiać o egzorcyzmach, to wiedzcie, że coś się dzieje. Pod koniec ubiegłego roku niemiecka telewizja publiczna (ARD) zrealizowała półgodzinny reportaż poświęcony zjawisku „opętań” i kleszej walki z nimi.

Punktem wyjścia dla niemieckich dziennikarzy była historia Anneliese Michel – zmarłej w 1976 r. 24-latki, z której kilkuletnie egzorcyzmy nie wypędziły diabła, za to wpędziły ją do grobu. Rękę przyłożyli do tej tragedii jej nawiedzeni rodzice. Diagnozy księży potwierdzało to, że Anneliese cierpiała na padaczkę i psychozy, co księżom kojarzy się tylko z jednym – z szatanem.

Działania księży Ernsta Alta oraz Arnolda Renza budziły podejrzenia nawet u władz kościelnych. Egzorcyści byli niechętni zmianom, które wówczas – po Soborze Watykańskim II – zachodziły w Kościele kat. i wykorzystywali Michel do potwierdzenia swoich racji. Demony, które miały przez nią przemawiać, potwierdzały to, co egzorcyści chcieli usłyszeć i przekazać światu. Anneliese Michel miały opętać demony takich postaci jak Hitler, Judasz, Lucyfer, Neron, Kain czy nieznany z nazwiska upadły ksiądz. Całkiem barwna plejada, działająca na wyobraźnię gminu.

Gdy dziewczyna zmarła, w niemieckim Kościele zapanował popłoch. Bp Josef Stangl, który wcześniej zezwolił na męczenie dziewczyny, po jej zgonie wydał zaskakujące jak na katolickiego hierarchę oświadczenie, w którym stwierdził, że *szatan nie istnieje, a opętanie jest chorobą*. Historia Annelise Michel posłużyła jako inspiracja dla kilku filmów fabularnych, m.in. „Egzorcyzmy Emily Rose”. Od czasu jej śmierci u naszych zachodnich sąsiadów zjawisko katolickich egzorcyzmów praktycznie nie istnieje, przynajmniej oficjalnie. Tamtejsi duchowni boją się powtórki z wątpliwej rozrywki.

Żeby więc zobaczyć prawdziwego egzorcystę, niemiecki dziennikarz musi wybrać się do Polski. Ekipa Y-Kollektiv przyjechała do nas jak do jakiegoś skansenu, gdzie średniowieczne rytuały nadal funkcjonują w głównym nurcie kościelnym. Niemcy znaleźli polską Annelise Michel – bohaterkę filmu Pawła Kostowskiego „Egzorcyzmy polskie” dostępnego na YouTube. Irena (to pseudonim na potrzeby filmu) na szczęście żyje, ale księża sprawili jej piekło na ziemi.

Była egzorcyzmowana od wiosny 2011 do końca 2013 r. przez kilkunastu księży na plebaniach i w ich piwnicach.

Księża męczyli ją wielogodzinnymi rytuałami, wpychali krucyfiks do ust, polewali wodą, „namaszczali” jej krocze, kładli się na nią z wyczuwalną erekcją.

Dorosła dziś kobieta ciągle zmaga się traumami. Niemcy jakoś uporządkowali to zjawisko, a w Polsce nadal jak w lesie. Prędzej Grzegorz Braun wygna niemiecki Lidl z Polski, niż polscy prawodawcy postawią się egzorcystom. A jak widać z powyższych przykładów, egzorcyzmy to nie tylko anegdoty z salcesonem w roli głównej, ale także prawdziwe tragedie.

ŁP

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***Działania minister Nowackiej wypierające religię z polskich szkół wpisują się w okres stalinizmu.*** *(…) Człowiek jest zawsze pchany ku temu, co wyżej, czyli ku Bogu, i jeśli się sprzyja właśnie takiemu kierunkowi, żeby odwrócić człowieka od Boga, to wiadomo, że* ***Sobór Watykański II powiedział, iż stworzenie bez Stwórcy marnieje, czyli że człowiek bez żywego odniesienia do swojego Stwórcy ginie. Jeśli mamy propagować akurat taką metodę edukacji, to jest pożałowania godna metoda.***

abp Stanisław Gądecki, TV Trwam, 12 lutego

■ ***Wczoraj zamordowano w Polsce kolejnego księdza.*** *W mojej diecezji – tylko w ostatnich tygodniach – były trzy włamania do plebanii.* ***Uważam, że współodpowiedzialność ponoszą także liberalno-lewicowe media i politycy z antykościelną narracją i mitami o bogactwie Kościoła.***

ks. Janusz Chyła, X, 14 lutego

■ ***Mentalność młodego pokolenia w dużej mierze kształtowana jest przez nauczycieli i media zakorzenione w ideologii liberalno-lewicowej.*** *Potrzeba odwagi i krytycznego myślenia, aby wyłamać się ze schematów nowej wersji homo sovieticusa.*

ks. Janusz Chyła, X, 11 lutego

■ ***Politycy Unii i rządzący wielu państwami Starego Kontynentu tak poobracali kota ogonem, a raczej wkroczyli na niebywały poziom kłamstw, relatywizmu i lewicowej ideologii*** *– że przez lata stali się największym zagrożeniem dla Europy i Narodów.*

ks. Daniel Wachowiak, X, 14 lutego

■ *To prawda, iż egoizm liderów partyjnych bywa podsycany przez obcych i jest często narzędziem sił wrogich Polsce.* ***To prawda, że nie można równać tych, którzy Polskę budują, z tymi, którzy w imię ideologicznych fikcji ją niszczą, upadlają i degradują, widząc choćby w mordowaniu nienarodzonych Polaków dowód swej wolności i tzw. praw kobiet.***

Prof. Paweł Skrzydlewski, Radio Maryja, 9 lutego

■ *Do osób, które napiszą w Internecie prawdę – na przykład taką, że istnieją tylko dwie płcie albo że tak zwana tranzycja to okaleczanie dzieci czy też: aborcja jest zabójstwem człowieka, zielony ład doprowadza polską rodzinę do biedy. Emisja gazów cieplarnianych jest szaleńczą ideologią, a migranci z Afryki i Bliskiego Wschodu są zagrożeniem dla Polaków czy inne tego typu zdania – zapukać będą mogli policjanci. (…)* ***Dlatego, kochana Matko, dziś błagamy twojego Syna Jezusa cytatem wiersza Juliana Tuwima, „lecz nade wszystko – słowom naszym/ zmienionym chytrze przez krętaczy/ Jedyność przywróć i prawdziwość: Niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość – sprawiedliwość.***

bp Antoni Długosz, Apel Jasnogórski, 11 lutego

■ *Kościół nie jest ani aktorem politycznym, ani nawet politycznym think tankiem. Jego rolą nie jest zatem ani udział w sporze politycznym, ani recenzowanie działań tej czy innej strony politycznego sporu. (…)* ***Tak jak w latach poprzednich będziemy przypominać politykom o ich odpowiedzialności za dobro wspólne i zachęcać do szukania wszędzie tam, gdzie jest to możliwe, godziwych kompromisów. Myślę, że nie zabraknie takiego metapolitycznego głosu Kościoła przed nadchodzącymi wyborami.***

abp Józef Kupny, Niedziela.pl, 11 lutego

■ *To, że urodziłeś się w Polsce, że w niej się wychowałeś i posiadasz obywatelstwo polskie, nie oznacza jeszcze, że jesteś Polakiem.* ***Polak kocha swoją Ojczyznę; jest gotowy dla Niej cierpieć i za Nią umierać.*** *Polak ma Ojczyznę w sercu!*

o. Jacek Dąbrowski, X, 16 lutego

KLECHA

eprasa.pl 9557e356c8

Czy oprócz uznania Zielonych Świątek za niedzielę władza nie mogłaby w końcu zrobić czegoś bardziej sensownego?

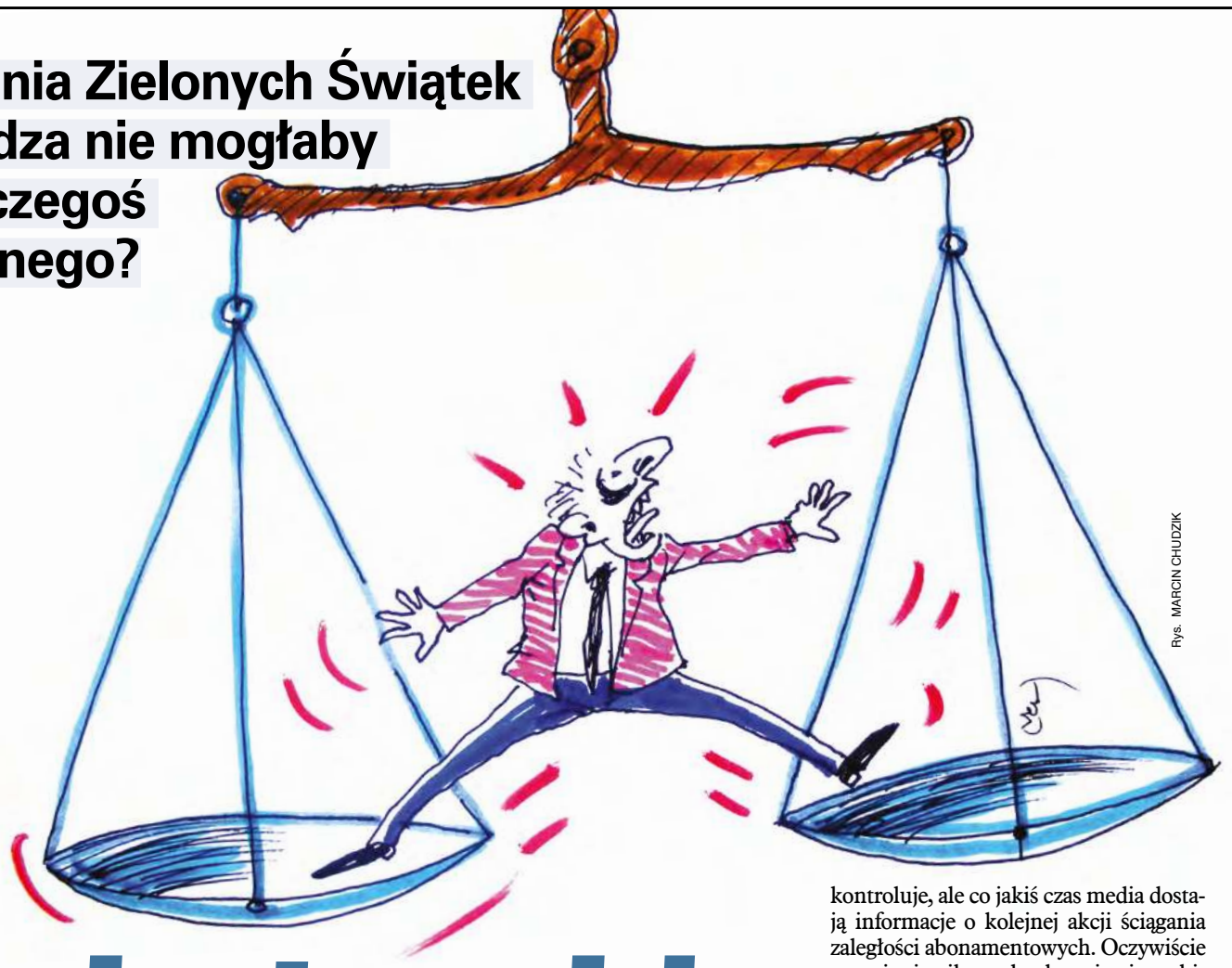

Rys. MARCIN CHUDZIK

Kiedyś był zakaz fotografowania i nawet stosowna tabliczka też była. Potem zakaz zniknął, bo pojawiły się komórki i każdy mógł w dowolnym momencie strzelić fotkę wszystkiemu, co tylko chciał utrwalić, i nie było żadnej siły, by to kontrolować. Ale od czego mieliśmy PiS u władzy? W ramach ustawy o obronie ojczyzny zakaz od dwóch lat znowu działa. I zakazuje fotografowania, filmowania lub utrwalania w inny sposób bez zezwolenia obrazu lub wizerunku: *obiektów szczególnie ważnych dla bezpieczeństwa lub obronności państwa, obiektów resortu obrony narodowej nieuznanych za obiekty szczególnie ważne dla bezpieczeństwa lub obronności państwa, obiektów infrastruktury krytycznej, jeżeli zostały oznaczone znakiem graficznym wyrażającym ten zakaz, zwanych dalej „znakiem zakazu fotografowania”*, a także osób lub ruchomości znajdujących się w tych obiektach.

Koalicja truchła prawnego

Kto więc takie coś fotografuje, podlega karze aresztu albo grzywny. Poza tym sąd może orzec przepadek przedmiotów pochodzących z wykroczenia lub służących do jego popełnienia – choćby nie stanowiły własności sprawcy. Przepis nie dość, że jest idiotyczny i nie do wyegzekwowania, to na dodatek zdaniem rzecznika praw obywatelskich *jest niezgodny z art. 54 ust. 1 w związku z art. 31 ust. 3 Konstytucji, ogranicza bowiem wolność pozyskiwania informacji bez konstytucyjnie legitymowanego powodu*. Po cholerę więc ożywiono głupi, niewykonalny przepis?

Meldowanie martwej zygoty

Odpowiedź na tak postawione pytanie jest prosta. Wybrańcy narodu uchwalają martwe przepisy, bo taka jest tradycja. A poza tym, takie nieegzekwowane zapisy zawsze mogą się przydać, by kogoś udupić czy w celu zrobienia jakiejś efektownej pokazówki.

Dokładnie tak było z ustawą antyaborcyjną. Wbrew temu, co opowiadają feministki, ustawa ta przestała żyć w chwili opublikowania. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie uzna, że w 38-milionowym społeczeństwie przerywało się tylko 1000 ciąż z gwałtów lub chorób. Same feministki podawały, że każdego roku abortowało się w Polsce co najmniej 150 tys. zalążków homo sapiensa.

Art. 152 Kodeksu karnego przewiduje odpowiedzialność karną zarówno osoby, która usuwa z kobiety ciążę, jak i tego, kto aborterce w pozbyciu się zygoty pomaga lub ją do tego nakłania. Za każdą z tych ewentualności grożą trzy lata pudła.

Ale przed PiS, za jego czasów i tym bardziej dziś, panował aborcyjny kompromis. Polegał na tym, że każda kobieta, która potrzebowała się pozbyć ciąży, robiła to gdzie i jak chciała. Czasem nawet za naprawdę niewielkie – do 500 zł – pieniądze. Zadowoleni byli i ginekolodzy, bo część niewiast nie umiała poruszać się w internecie i lądowały na fotelu za 4 tys. zł. A jak któraś pani miała kasę i widzimisię, to dawała zarobić klinikom i gabinetom rozsianym wzdłuż granic Rzeczypospolitej. Tyle że po drugiej ich stronie.

Feministki były szczęśliwe, bo miały prawo, które mogły zwalczać do końca świata. Ordo Iuris i biskupi – takie, które z powodu zgody na skrobanie skutków gwałtów wołało o pomstę do nieba. A pisowska władza raz, dwa razy w roku miała okazję wykazać się, zamykając jakiegoś ginekologa, który wyskrobał pannę mającą głupiego chłopa i za długi język.

Statystyki wykrywalności przestępstw aborcyjnych pokazywały, że ustawa antyaborcyjna była prawem równie żywym jak spuszczane w sedesach zygoty. O ile jednak martwe przepisy antyaborcyjne mają choćby minimalne logiczne uzasadnienie w tym, że dzięki nim podbija się jakiś elektorat, to wszystko, co dzieje się z obowiązkiem meldunkowym, poza granicę logiki wykracza mocno.

Konieczność zapisania się w urzędzie pod danym adresem miała być zniesiona już na początku pierwszych rządów Platformy. Potem mówiła o tym nawet „dobra zmiana”. Efekt jest taki, że na internetowej stronie MSWiA można wyczytać, że meldować się trzeba. Na stałe lub czasowo. *Pobytem stałym jest zamieszkanie w określonej miejscowości pod oznaczonym adresem z zamiarem stałego przebywania. W tym samym czasie można mieć tylko jedno miejsce pobytu stałego*. Zaś *pobytem czasowym jest przebywanie bez zamiaru zmiany miejsca pobytu stałego w innej miejscowości pod oznaczonym adresem lub w tej samej miejscowości, lecz pod innym adresem*. No i jeszcze jak się wybywa z kraju na dłużej, to się trzeba wymeldować, a po powrocie wręcz przeciwnie. Jednak gdy się tego nie zrobi, to nikomu nie spadnie łupież z głowy.

Art. 147 Kodeksu wykroczeń przewidywał karę grzywny za niedopełnienie obowiązku meldunkowego, a nawet mandat dla każdego, kto nie poinformował urzędu o znanym mu przypadku braku zameldowania. Tyle tylko, że w 2013 r. przepis ten został wysłany na śmietnik. Obowiązuje zatem prawo, którego – zgodnie z prawem – mamy prawo nie przestrzegać.

Haracz ciszy wyborczej

Dzieci rodziców, którzy w przeddzień narodzin swojej progenitury usłyszeli od Tuska: *Abonament radiowo-telewizyjny jest archaicznym sposobem finansowania mediów publicznych, haraczem ściąganym z ludzi, dlatego rząd będzie zabiegał o poparcie prezydenta i opozycji dla jego zniesienia*, właśnie dobijają pełnoletności. Liczba Polaków płacących abonament radiowo-telewizyjny jest mniejsza niż w marcu 1989 r. Haracz uiszcza ok. 800 tys. gospodarstw domowych z 13 mln, które posiadają telewizor.

Prawie nikt już nie rejestruje nowo kupionego odbiornika. Nikt tego nie kontroluje, ale co jakiś czas media dostają informacje o kolejnej akcji ściągania zaległości abonamentowych. Oczywiście zagrożenie nikogo do płacenia nie mobilizuje. Wszystkim widać taka ustawowa fikcja pasuje.

Ustawowa. Bo w ciągu 18 lat nikt jakoś nie znalazł innej formuły finansowania mediów publicznych. Koncepcje z zasilaniem wprost z budżetu umarły, zanim się narodziły, a projekty opłaty audiowizualnej skisły w gabinetach urzędników. Obietnica Tuska z 2007 r. była czczą obietnicą.

W styczniu 2018 r. Krzysztof Czabański, sprawujący synekurę szefa – nikomu do niczego oprócz niego i zastępców niepotrzebnej – Rady Mediów Narodowych, wyskoczył do mediów z oświadczeniem, że już w 2019 r. abonamentu nie będzie. Na co dawał 99,9 proc. gwarancji. Inni politycy PiS w 2019 r. też prześcigali się w opowiadaniu, że jak znów wygrają, to abonamentu RTV nie będzie. Po wyborach najpierw przebąkiwali o płaceniu za telewizję i radio w rachunkach za prąd, a potem i to zdechło. Znowu rządzi Tusk, a martwy haracz teoretycznie obowiązuje.

Tak samo jak wiele zapisów Prawa prasowego. Bo choć stoi w nim: *nikt nie może być narażony na uszczerbek lub zarzut z powodu udzielenia informacji prasie, jeżeli działał w granicach prawem dozwolonych*, to żeby wywalić gadułę z roboty, instytucja publiczna zawsze znajdzie jakiś powód.

Jest w Prawie prasowym i takie kuriozum, o którym nie pamięta już nikt: *organy państwowe są obowiązane do udzielenia odpowiedzi na przekazaną im krytykę prasową bez zbędnej zwłoki, nie później jednak niż w ciągu miesiąca*. Nie wspominając o przepisie, na mocy którego *organ rejestracyjny może zawiesić wydawanie dziennika lub czasopisma na czas określony, nie dłuższy niż rok, jeżeli w ciągu roku co najmniej trzykrotnie w tym dzienniku lub czasopiśmie zostało popełnione przestępstwo*. Jakby zawieszony tytuł nie mógł już następnego dnia odwiesić się samemu, rejestrując tytuł nader zbliżony do spostponowanego...

Dokładnie tak samo wygląda nałożony ustawą na mieszkańców budynków wielorodzinnych obowiązek segregacji śmieci. Nie wspominając o takich drobiazgach jak opodatkowanie osób wynajmujących mieszkania czy zatrudniających zagraniczne sprzątaczki lub nianie. Ba, mimo że internet nie zna granic, wciąż obowiązuje u nas bzdura o nazwie cisza wyborcza. Żyje papierowy zakaz sprzedawania alkoholu osobom nietrzeźwym. Zaś chodnikami przy dobrej pogodzie śmigają obok policyjnych patroli stada rowerzystów nieświadomych prawdopodobnie, że naruszają prawo o ruchu drogowym. Funkcjonariuszom zaś nikt nie wytłumaczył, że za jazdę rowerem po chodniku powinni wystawiać 500-złotowe mandaty, a za przejazd rowerem po przejściu dla pieszych dorosłego rowerzystę mogliby karać jeszcze dotkliwiej.

Padlina kodeksowa

Adepci prawa kochają art. 182 Kodeksu cywilnego. Dlatego, że ten stanowi: *Rój pszczół staje się niczyim, jeżeli właściciel nie odszukał go przed upływem trzech dni od dnia wyrojenia. Właścicielowi wolno w pościgu za rojem wejść na cudzy grunt, powinien jednak naprawić wynikłą stąd szkodę*. Na tym nie koniec, bo *jeżeli rój osiadł w cudzym ulu zajętym, staje się on własnością tego, czyją własnością był rój, który się w ulu znajdował. Dotychczasowemu właścicielowi nie przysługuje w tym wypadku roszczenie z tytułu bezpodstawnego wzbogacenia*.

Jednak najbardziej martwe polskie prawo odnosi się do nieżywych psów, kotów, chomików, świnek morskich i królików miniaturek. Stanowi bowiem, że samodzielne pogrzebanie zwierząt jest nielegalne. I to w świetle najróżniejszych ustaw, rozporządzeń i innych takich.

Zakopanie martwego kota w lesie czy w odludnej części parku podpada pod art. 154. Kodeksu wykroczeń stwierdzający, że osoba, która kopie dół lub rów na gruncie leśnym lub polnym niebędącym jej własnością i zakopuje tam padlinę, podlega karze grzywny w wysokości 1000 zł.

Jeśli ktoś chciałby jednak użyźnić zwłokami Azora swój ogród, to też nie może. Dostanie karę 500 zł za zanieczyszczanie podziemnych cieków wodnych i skażenie gleby. Rozporządzeniem nr 1069 Parlamentu Europejskiego wprowadzono ponadto zasadę, że truchło zwierząt domowych musi być utylizowane. To samo jest i w naszej polskiej ustawie o ochronie zdrowia i zwalczaniu chorób zakaźnych zwierząt. Z obu tych aktów prawnych wynika, że ciało martwego zwierzaka traktowane jest jako odpad niebezpieczny I kategorii i jak nie zostanie odwiezione do specjalnej spalarni, to właścicielowi padliny grozi kara finansowa. Zależna od wagi zwłok. Małe truchła to grzywna w wysokości kilkunastu tysięcy złotych. Trup mający pod 100 kg może właściciela kosztować nawet kilkadziesiąt tysięcy.

Przykładów na niepodlegające żadnej kontroli kretyńskie zapisy w polskim prawie można znaleźć setki. Są w niemal każdym akcie prawnym. W każdej chwili – może z wyjątkiem niemiłej PSL-owi kwestii aborcji – posłowie mogą je zmienić. Ale przecież lepiej gonić jakieś popisowskie nieprawo rządne króliczki.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Były policjant z Radomia postanowił sprawdzić swoje umiejętności strzeleckie w dość nietypowym miejscu – wewnątrz komendy. Jego nowatorska metoda testowania lunety zakończyła się tym, że pocisk przebił ścianę i śmignął przez korytarz. Ekspertyza balistyczna potwierdziła, że broń była w pełni sprawna i – uwaga, niespodzianka – strzał padł po naciśnięciu spustu. Za swoją innowacyjność w zakresie obsługi broni policjant usłyszał zarzuty przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków. Może inspiracja przyszła z najwyższego szczebla? Skoro szef policji może odpalać granatniki w biurze, to czemu inni mieliby sobie odmawiać odrobiny rozrywki?

▮ 18-latek z Ukrainy zabrał kobiecie telefon w klubie, pojechał do Wrocławia, gdzie za 1000 zł „legalnie” go odblokował. Wrócił do Warszawy i zażądał 50 tys. zł za zwrot i milczenie. Gdy właścicielka odmówiła szantażyście, rozesłał jej zdjęcia znajomym. Po zatrzymaniu wyznał, że chciał się wzbogacić – cóż za szczerość! Telefon utopił w Wiśle, bo jak tonie plan, to i dowody mogą. Sekrety, które miały być warte fortunę, pewnie nikogo już nie obchodzą.

▮ Ach, ta katowicka siłownia! Istny tygiel kultury i finezji. Młody Nigeryjczyk znudzony monotonią ćwiczeń, postanowił urozmaicić trening i wprowadzić element zaskoczenia. Młotek treningowy, dotychczas narzędzie do rzeźbienia mięśni, stał się narzędziem do rzeźbienia czaszki innego sportowca. Policja zjawiła się w liczbie kilkunastu funkcjonariuszy. Bo wiadomo, na młotek trzeba co najmniej plutonu. Poszkodowany zamiast kolejnej serii na klatę zaliczył serię badań w szpitalu. Intensywne dochodzenia trwają, a my mamy kolejny argument, by unikać siłowni.

▮ Arkadom Wrocławskim ledwie osiemnastka stuknęły, a już idą pod młoty. Zamiast tortu i świeczek czeka je symboliczny pogrzeb. W 2007 r. galeria handlowa otwierana była z pompą, z rekinami w akwarium i spiżowym Salvadorem Dalím przed wejściem. Dziś staje się pomnikiem marnotrawstwa. Mieszkańcy są zniesmaczeni, że tyle dobrej jakości materiałów pójdzie na zmarnowanie. Szkoda stali, kamienia, szkła, a przede wszystkim sentymentu. Konkurencja wygrała, a nowy właściciel woli Arkady wyburzyć niż remontować. Czekamy z niecierpliwością na nową inwestycję – pewnie kolejny moloch bez duszy.

▮ Lipnik, Bielsko-Biała, pętla autobusowa. Sielankowy poranek, spokój, ciepłe promienie słońca. Aż tu nagle 70-letni berserk rozwścieczony 90-sekundowym opóźnieniem autobusu rzuca się na kierowczynię miejscowego MZK. Pasażerowie ruszają na ratunek damie w opałach. Kierowczyni niczym James Bond z gracją wymyka się z uścisku napastnika, by wezwać posiłki. Policja pojawia się w samą porę, by zatrzymać rozwścieczonego berserka. Dramat, sensacja, akcja! Ot, taki kolejny zwykły dzień w bielskiej komunikacji miejskiej. Dla nieznających pojęcia „berserk” – to nieustraszony wojownik nordycki, który w ferworze walki wpadał w szał, zyskując nadludzką siłę.

▮ No proszę, polskie banki biją rekordy zysków. 42 mld zł w 2024 r. Wzrost o 51,9 proc. Wysokie stopy procentowe? Toż to dar od niebios i samego Adama Glapińskiego. Tytułowanego głupka, intelektualnego karła, myśliciela od siedmiu boleści. Marża odsetkowa w górę, a matematyka finansowa, ta bezduszna, robi swoje. Brawo, brawo! Tylko się cieszyć, że komuś się wiedzie. A my, maluczcy, możemy co najwyżej pomarzyć o takich zyskach, licząc grosze do pierwszego.

▮ Tatry, ostoja dzikiej przyrody, a zarazem plac zabaw dla pomysłowych turystów. Zakaz wprowadzania psów? Phi, żaden problem! W plecaku, torbie, a może w przebraniu świstaka? Kreatywność ludzka nie zna granic. Tatrzański Park Narodowy ostrzega, że pies w Tatrach to zagrożenie. Obecność psa może

eprasa.pl 9557e356c8

Rafał Brzoska i ja

Rodzime żywoty równoległe

Amerykański reżyser dokumentów Michael Moore swój pierwszy film z 1989 r. zatytułował (w wolnym tłumaczeniu): „Roger i ja. Humorystyczne spojrzenie, jak General Motors zniszczyło miasto Flint w stanie Michigan". W typowym dla siebie satyrycznym tonie Moore pokazuje, jak Flint – miejsce narodzin ikony amerykańskiego przemysłu, GM – ulega zagładzie po zamknięciu fabryk koncernu motoryzacyjnego produkującego m.in. kultowe Cadillaki i Chevrolety.

Moore opisuje swoje dzieciństwo w robotniczym Flint, wskazuje na bezmiar cierpienia wywołanego przeniesieniem produkcji samochodów do Meksyku. Przez cały film próbuje porozmawiać z tytułowym Rogerem B. Smithem, prezesem GM, aby pokazać mu ludzkie koszty tzw. restrukturyzacji. Pokazuje, że w chciwej pogoni za zyskiem ludzkie życie, marzenia i plany są niewarte funta kłaków.

Byłabym wniebowzięta, gdyby jakiś reżyser lub reżyserka nakręcili analogiczny film o polskich miliarderach – ale, nie, nie nakręci, bo dadzą sobie dupę ogolić, aby dostać od nich pieniądze na swoją twórczość, a może raczej tfu!rczość. Jak mawiają, za pieniądze ksiądz się modli, za pieniądze lud się podli.

Nie jestem reżyserką, moją domeną jest słowo pisane. Ale ku swojemu zdziwieniu odkryłam, że w jakiś pokrętny sposób moje losy są równoległe do najgorętszego teraz w kraju miliardera Rafała Brzoski. Nie dziwota, wszak oboje mieszamy w Polsce, jesteśmy w podobnym wieku.

Wyjść z Nędzy

Rafał pochodzi z Nędzy, małego miasteczka w województwie śląskim. Nie było to idealne miejsce startu dla chłopaka, który chce zostać miliarderem i umie dopiąć swego.

Ja pochodzę z dolnośląskiej wsi, która miała wielkość w nazwie, ale w latach 80. wielki tam był średniowieczny kościół i wielka liczba mężczyzn, którzy chlali z musztardówek wódkę. Przez lata mieszkałam w poniemieckim domu wielorodzinnym, gdzie nie było bieżącej wody, a kibel był na zewnątrz. Nie było to idealne miejsce startu dla nikogo, chyba że w życiowych planach ma się alkoholizm lub samobójstwo.

Rafał już w ogólniaku miał łeb do interesów – w latach 90. montował i sprzedawał komputery dla kolegów.

Ja w liceum piłam jabole i starałam się bezskutecznie schudnąć. Zaczęłam słuchać punka i zostałam wegetarianką.

Na studiach Rafał zakłada firmę roznoszącą ulotki. Nie zraził się początkowym niepowodzeniem. Ulotki roznosi sam. Sprawdza, jakie firmy reklamują się przez skrzynki pocztowe, i odzywa się do nich, oferując niższe od konkurencji stawki. Trafia na dobry, przedinternetowy czas, gdy przez ulotki koncerny handlowe docierają do potencjalnych klientów.

Ja na studiach starałam się dobrze bawić, poznawać ludzi, interesować się światem społecznym i politycznym wokół mnie.

W roku 2006 Rafał wsiada na chiński skuter, nakleja na paczki logo InPost i rusza walczyć z Pocztą Polską. Unia Europejska pozwoliła Poczcie zachować monopol na przesyłki do 50 gramów, ale biznesmen pokazał, że Polak potrafi, a nasz kraj jest oazą kombinatorstwa i cwaniactwa. Dociąża listy metalowymi blaszkami.

To wtedy poniekąd pierwszy raz nasze drogi się skrzyżowały. Dostawałam rozliczenia abonamentu sieci komórkowej – własności innego polskiego miliardera Zygmunta Solorza – z taką właśnie blaszką. Jak wiadomo, nierządem Polska stoi, więc po latach batalii sądowej sądy przyznają rację Brzosce, tłumaczącemu nieszczerze, że blaszki to „plomby" – zabezpieczają koperty przed otwarciem i pełnią funkcję marketingową, wyróżniając InPost na tle konkurencji.

Ja byłam na studiach doktoranckich. Jakoś próbowałam przeżyć za 1050 zł stypendium naukowego, przy czym miałam już dwuletnią córeczkę, więc lekko nie było. Próbowałam dorabiać w mediach, zwykle z marnym skutkiem. Jako wydawczyni w redakcji pewnego pisma regionalnego – na jakże kochanej przez Rafała śmieciówce, 500 zeta na miesiąc brutto – dowiedziałam się, że najważniejsze są reklamy, potem zdjęcia, artykuły na końcu.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

My i Donald

Gdybym musiał wybierać, to wolałbym być wybitnym spawaczem, dobrze zarabiającym, niż wiecznie bezrobotnym politologiem – tak (pracujący, choć nie w zawodzie) historyk Donald Tusk powiedział jesienią 2012 r. W ogóle Donald ma jakiś uraz do politologów, bo niedługo później ogłosił: *dobry ślusarz jest tysiąckrotnie więcej wart na rynku pracy niż słaby politolog.*

Najczęściej cytowany polski teoretyk polityki – i jak wiemy z jego publikacji, nasz stały Czytelnik – powiedział, że owa ostatnia wypowiedź premiera *równie przemyślana i mądra jak wcześniejsze nonszalancje o kastracji pedofilów czy o żyrandolu – to klasyczny przykład demagogii, a zarazem nieprofesjonalnego zachowania zawodowca.* I jeszcze dodał, że Tusk może cierpieć na nerwicę natręctw, skoro *ostrzega przed politologią jak przed alkoholizmem lub konopiami.*

A był to kolejny prawy prosty ówczesnego premiera dla ludzi pracy, którzy byli tak głupi, że uwierzyli, że wiedza coś znaczy i warto poszerzać swoje horyzonty. Choćby po to, żeby dowiadywać się, jak politycy robią nas w chuja.

Sama doświadczyłam wspaniałości odpowiedzi rządu PO–PSL na kryzys w postaci zawieszenia zasady, że trzecia kolejna umowa na czas określony oznacza umowę na stałe.

Ale cieszyłam się, że w ogóle mam etat, a jak pójdę na L-4, to mnie nie zwolnią. Tak właśnie się stało jakiś czas później w prywatnej wyższej szkółce tarcia chrzanu, do której dojeżdżałam paręset kilometrów. Zarabiałam w niej – mając stopień doktora! – pensję minimalną, a po pierwszym zwolnieniu lekarskim dostałam wypowiedzenie.

Lata z Tuskiem na urzędzie premiera były złotym czasem dla takich jak Rafał. W końcu biznes jakoby tworzy miejsca pracy, a że są to tzw. elastyczne formy zatrudnienia, umowy o dzieło czy zlecenia – zwane nie bez racji śmieciówkami – to rządzących nie obchodzi. Bo

Kodeks pracy jasno mówi, że setki tysięcy Polaków na śmieciówkach – włącznie z kurierami InPostu – powinny mieć umowy o pracę, świadczenia, prawo do urlopu i zwolnienia lekarskiego, ale państwo ma w dupie prawo i sprawiedliwość

(gwoli ścisłości: tak samo było za rządów Prawa i Sprawiedliwości).

No i Tusk budował z publicznej kasy drogi na potęgę, bez czego przyszłe paczkomatowe i doręczycielskie imperium Rafała nie miałoby racji bytu. Ja musiałam dymać rowerem do wsi obok, gdzie w prywatnym, zatłoczonym, nadającym się na złom busie wisiałam nad przednią szybą, modląc się, by kierowca nie zahamował. Oczywiście premier wydający dziesiątki miliardów na autostrady nie znalazł dziesiętnej części tej kasy na kolej i walkę z wykluczeniem komunikacyjnym.

Nasza walka z Fejsem

Pewnego dnia półtora roku temu kumpel mnie spytał, czy mi odjebało, i podlinkował podpisany moim imieniem i nazwiskiem oraz miejscem pracy profil na Fejsie. I czynione zeń obelżywe i oszołomskie komentarze na profilu mojego pracodawcy.

Zmroziło mnie. Ludzie, w tym moi przełożeni, koledzy z pracy czy studenci, czytają media społecznościowe. Zgłosiłam natychmiast sprawę Fejsowi, że ktoś się pode mnie podszywa. Do dziś nie dostałam odpowiedzi. Chcąc chronić moje dobre imię, zgłosiłam sprawę w prokuraturze i wysłałam skan zawiadomienia mojemu uniwersytetowi.

Po paru tygodniach zostałam wezwana na komisariat. Kiedy wdrapałam się na trzecie piętro po skrzypiących schodach do pokoju policjantki, ta dukając, wypełniła notatkę służbową. Nie miałam złudzeń, ale jakbym miała, to by mnie boleśnie z nich odarto. – Kiedy w jakiejś sprawie zgłaszamy się do mediów społecznościowych, te nas zbywają, odpisując np., że profil założono za granicą, że chronią dane osobowe – poinformowała mnie znużona funkcjonariuszka.

Parę tygodni później dostałam pismo z prokuratury, że sprawę umorzono z powodu niewykrycia sprawców.

Innymi słowy, rację miał prezes Kaczyński, powołując się na sławetny imposybilizm i bezzębne państwo – przy czym było to za rządów Morawieckiego. Nie jestem polityczką, ale zwykłą osobą, której nazwisko opluto w sieci. Ot, dzień jak co dzień.

Ale okazuje się, że państwo polskie potrafi przezwyciężyć imposybilizm, i to już za obecnych rządów uśmiechniętej koalicji pod przewodem tego pana, co wrzuca do sieci, jak obiera kartofle w bluzie za tysiaka. Oczywiście państwo pręży muskuły, nawet wobec globalnych koncernów na życzenie rodzimych miliarderów, którym ktoś zalazł za skórę, a nie szaraczków jak ja…

W połowie zeszłego roku, kiedy w sieci krążyły foty z rzekomo pobitą przez Rafała żoną Omeną Mensah (typowy deepfake), a także wieści, że trafiła ona do pierdla czy zmarła, miliarder zdecydowanie zareagował, pisząc na LinkedInie: *Przychodzi taki moment w życiu każdego z nas, że mówimy DOŚĆ. Mówimy tak z wielu powodów, ale jednym z nich jest powiedzenie DOŚĆ na łamanie prawa, naruszanie norm społecznych i czerpanie korzyści finansowych z oczywistych przestępstw.*

Cyberprzestępcy użyli wizerunku bogaczy, by promować lewe inwestycje.

Szef Urzędu Ochrony Danych Osobowych Mirosław Wróblewski w precedensowym postanowieniu zobowiązał Meta Platforms Ireland Limited (właściciela europejskiego Fejsa i Instagrama) do wstrzymania wyświetlania na terytorium kraju fałszywych reklam wykorzystujących prawdziwe dane i wizerunek Omeny. Wróblewski grzmiał w oficjalnym komunikacie, że *osoby publicznie rozpoznawalne, których prawdziwe dane są łatwo dostępne, mogą zostać w sposób okrutny wykorzystane przez cyberprzestępców, uznał zatem, że zaistniała pilna potrzeba ochrony prywatności i wolności skarżącej.*

Zastanawiam się, co po mnie zostanie. Pamięć bliskich. Blaknąca pamięć paru byłych studentów. Tysiące stron publikacji. Po Rafale zostanie o wiele więcej. Szpecące miasta paczkomaty, nieprzespane noce kurierów na śmieciówkach. Mnóstwo sławiących go publikacji autorstwa dziwek medialnych obu płci, które przez lata pisały o nim na kolanach. Tylko tyle i aż tyle.

KATARZYNA KOENIG

zakłócić naturalne zachowania dzikich zwierząt, wywołując u nich stres lub agresję. Nawet zapach psa może wpłynąć na wilki, niedźwiedzie czy kozice. Ponadto psie odchody mogą przenosić pasożyty i choroby, stanowiąc zagrożenie dla lokalnej fauny – straszy Szymon Ziobrowski, dyrektor TPN.

▮ Pracownik socjalny w Krakowie zarabia prawie 9300 zł brutto. Luksusy! A to bez dodatków. Główny specjalista – 10 500 zł, do tego trzynastka, dodatki, nagrody... Żyją jak pączki w maśle. A dyrektor Witold Kramarz, skromny człowiek, ledwie 20 tys. zł brutto miesięcznie plus nagrody, plus dodatek za 30 lat pracy. Zarobił milion w trzy lata. Wszystko jawne, przejrzyste, w oświadczeniu majątkowym. Klienci krakowskiego MOPS-u mają się zatem dobrze.

▮ Wrocław, październik 2023 r. Tragedia rozgrywa się za zamkniętymi drzwiami. 81-letni Marian R. dusi kablem swoją 75-letnią chorą żonę Krystynę. Latami była przykuta do łóżka. On, zmęczony opieką, twierdzi, że spełnił jej prośbę o skrócenie cierpień. Kłótnia, wyzwiska, impuls. Po morderstwie Marian chce się zabić. Nieudolnie. Sąd skazuje żonobójcę na sześć lat, biorąc pod uwagę impuls, osamotnienie, ograniczoną poczytalność. Obrona zapowiada apelację. Marian R. nie czeka na jej wynik. Kolejna próba samobójcza, tym razem skuteczna. Spoczął obok żony, z którą spędził życie, a teraz czeka ich wieczność razem.

▮ W 2024 r. polskie miasta wydały 2,19 mld zł na obsługę długów. Największe koszty ponieśli mieszkańcy Krakowa (396 mln zł), Warszawy (299 mln) i Łodzi (280 mln). Najmniejsze – Gorzowa Wielkopolskiego (21 mln zł), Olsztyna (29 mln) i Zielonej Góry (39 mln). Odsetki stanowiły najmniejszy procent wydatków w Warszawie (1,08 proc.), Katowicach (1,73 proc.) i Olsztynie (1,79), a największy – w Toruniu (5,59 proc.), Krakowie (4,58) i Łodzi (4,54). W przeliczeniu na mieszkańca najmniej zapłacili Gdańszczanie (156 zł), Bydgoszczanie (160) i Warszawiacy (160), najwięcej zaś – Krakowianie (493 zł), Lublinianie (421) i Łodzianie (421).

▮ W opolskim ogrodzie zoologicznym rozegrał się dramat godny pióra Agathy Christie. 11 kangurów rudych, symbol Australii i radości skakania, odeszło z tego świata w tajemniczych okolicznościach. Pierwszy z torbaczy został znaleziony z obrażeniami głowy, co od razu wzbudziło podejrzenia o nieczystą grę. Czyżby kangurze gangi toczyły walki o terytorium? A może jakiś sadystyczny pracownik zoo postanowił rozładować frustrację? Powiatowy lekarz weterynarii nie znalazł nieprawidłowości w opiece nad kangurami. Karma nie była zatruta, wybiegi bezpieczne, a opiekunowie troskliwi. Próbki tkanki zostały wysłane do specjalistów z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. Histopatologia, toksykologia, bakteriologia zostały zaprzęgnięte do rozwiązania zagadki, lecz bezskutecznie. Tymczasem w opolskim zoo pozostało tylko sześć kangurów, w tym jedno maleństwo, które cudem uratowało się z torby nieżywej matki. Czy odkryjemy prawdziwą przyczynę śmierci jedenastki? A może na zawsze pozostanie zagadką? W świecie zwierząt, tak jak w świecie ludzi, nie wszystko da się wytłumaczyć logiką i nauką. Czasami tajemnica jest po prostu… tajemnicą.

▮ Radar uruchomiony w listopadzie na Al. Jerozolimskich w Warszawie, przy wylocie w stronę Pruszkowa, został wspomniany w naszych wiadomościach kilka numerów temu. Do końca stycznia zarejestrował 12,5 tys. wykroczeń. Następnie został zniszczony, co oznacza, że potencjalnych podejrzanych jest właśnie tyle samo. Sam rozważałbym jego usunięcie, choć nie miałem w tym osobistych interesów – ktoś jednak mnie ubiegł. Już sam fakt, że urządzenie rejestrowało średnio 135 wykroczeń dziennie, świadczy o tym, że zostało postawione w niewłaściwym miejscu. Nadchodzą czasy, gdy z biurokracją przyjdzie nam walczyć siłą na różnych frontach.

▮ Zbigniew Klasa, właściciel Spółki Rolnej Dretyń, gospodarujący na 1200 hektarach pomorskiej ziemi, przeżył wstrząs, gdy zobaczył tegoroczne obciążenie podatkowe. Okazało się, że wójt sięgnął po siedem razy większą kwotę niż rok temu. Powód? Nowe przepisy, które nakładają 2 proc. podatku od wartości praktycznie wszystkiego, co znajduje się na terenie gospodarstwa. Silosy na kiszonkę i zboże, wiaty, utwardzone place, drogi dojazdowe, zbiorniki na gnojowicę, ściana oporowa, zbiornik przeciwpożarowy, ogrodzenia, sieć wodociągowa i elektryczna, a nawet komin przy nieczynnej gorzelni – wszystko to stało się przedmiotem opodatkowania. *Przecież to to samo gospodarstwo, ta sama działalność* – żali się rolnik. Czy kiedykolwiek doczekamy czasów, gdy rolnicy przestaną narzekać? Wygląda na to, że dogodzić im nijak nie można. Zawsze znajdzie się podatek, który im nie pasuje. Wieczna piosenka o krzywdzie.

R.J.

PS Informacje pochodzą z mediów lokalnych, więc jeśli okaże się, że są bardziej wyssane z palca niż bajki babci, to nasza wina nie jest. Mimo to warto było chyba rzucić na nie okiem, skoro przykuły uwagę całej prowincji.

eprasa.pl 9557e356c8

Programy zmierzające do wzrostu urodzeń przez podnoszenie poziomu życia rodzin nie mają sensu

Rys. WIDGET

Skąd się biorą dzieci?

Ponad dekadę temu raporty Eurostatu mówiły, że pracujące Polki rodzą niemal dwoje dzieci, a bezrobotne nie rodzą nawet jednego. Wskaźnik dzietności dla pracujących wynosił 1,78, a dla niepracujących tylko 0,92. Na koniec 2012 r. bezrobocie w Polsce wynosiło 13,3 proc.

Być jak królik

Spece od dzietności wykombinowali zatem, że za niską liczbę narodzin są odpowiedzialne głównie bariery materialne i brak poczucia bezpieczeństwa, bo w okresie koniunktury wskaźnik dzietności rośnie, a przy dekoniunkturze spada. Pewnikiem dla jajogłowych było, że kobiety czujące się bezpiecznie od strony finansowej chętniej zachodzą w ciążę. Uznano więc, że właśnie z tego powodu Polki mieszkające w Anglii (należącej wówczas do Unii) rodziły więcej dzieci niż ich kumpele, które pozostały w Polsce. A w Szwecji czy we Francji, gdzie jeszcze 20–30 lat wcześniej ogłaszano zapaść demograficzną i prognozowano wyludnienie, wskaźniki dzietności były dużo wyższe niż w Polsce. Potwierdzeniem tej tezy miał być też fakt, że najbardziej w Europie liczba ludności spadała w Rosji i na Białorusi, czyli tam, gdzie ekonomicznie fajnie nie było.

Wszystkie te gadki o Francji czy rozmnażającej się Szwecji brały jednak w łeb, gdy się wiedziało, że aby jakaś nacja wzrastała, to każda kobieta musiałaby urodzić 2,1 dziecka. Tymczasem obywatelki Republiki Francuskiej wydalały z siebie ledwie 1,96 dziecka, co przy ówczesnym dorobku macic naszych rodaczek na poziomie 1,3 też nie rzucało na kolana.

W Polsce sprzed 10 lat demografii nie sprostali nawet premierzy. Tusk średnią wyrobił, a nawet ją przekroczył zmachaną przez siebie parką. Średnia dzietność premierów RP wyniosła bowiem za pierwszego premierowania Tuska 1,83. Prezydentów nie było co ujmować w statystyki, bo jedni normy nie wyrobili, a pozostali to ekstremalne dzieciorby, a poza tym prezydenci to zbyt mała próba do jakichkolwiek badań i prezydentowanie Dudy niczego tu nie zmieniało.

Kopacz, Szydło i Morawiecki dali średnią w dzieciach wyższą – 2,33. Głównie przez czwórkę przychówku tego ostatniego. Polityka nie była więc kluczem do rozumienia polskiej demografii.

Ta zaś jednoznacznie pokazywała, że najwięcej dzieci rodziło się u nas w czasach, gdy wszystko było na kartki, na mieszkania czekało się kilkanaście lat, a zarobki oscylowały wokół 25 dolarów miesięcznie. Co prawda jeszcze więcej Polaków przyszło na świat w wyniku zakończenia II wojny światowej, ale nikomu, kto chciałby rozmnożyć naród polski, jakoś nie wchodziło w rachubę wywołanie wojny światowej.

Światowe trendy demograficzne pokazywały od dawna pewne prawidłowości. Kilkanaście lat temu Japonia, kraj bogaty, a współczynnik dzietności miał niższy niż my. Ledwie 1,21. Tajwanki też bogate, a porodówki odwiedzały ledwie 1,15 raza w życiu. Przebogate Singapurki zaś tylko 1,11.

Tymczasem w takiej Ugandzie było 6,69 dziecka na kobietę, w Nigrze – 7,6, a w Mali – 6,44.

Minęły lata, a w geografii rodzenia wiele się nie zmieniło. Afrykańskie kraje wciąż przodują w największej liczbie urodzeń. Nigeria ma 7,4, Malawi – 4,9, Ghana – 4,1. Ciekawostką są takie kraje jak Afganistan – 5,3, Irak – 4,6, Egipt – 3,4.

Z drugiej natomiast strony Japonki, Tajwanki i Singapurki zostały przeskoczone przez bogate nader południowe Koreanki. Tam współczynnik urodzeń na jedną kobietę jest niższy niż 0,8.

Rekordowy dla Polski był rok 2024. Na naszych porodówkach przyszło na świat nieco ponad 250 tys. dzieci. Najmniej w historii i trzykrotnie mniej niż ponad 40 lat temu. Do demografii Republiki Korei już mamy niedaleko. Nasz współczynnik urodzeń na kobietę spadł bowiem do 1,12.

Ponieważ nieboszczyków odnotowaliśmy w zeszłym roku niemal 150 tys. więcej niż osesków, to wymieramy jak się patrzy. Zamiast jednak przyjąć ten fakt ze zrozumieniem, politycy zaraz zaczną głowić się, co z tym fantem począć, bo nie może być tak, że Polaków nie będzie.

Demografia Syzyfa

Tymczasem z opóźnianiem wieku zawierania małżeństwa i zmniejszeniem liczby zawieranych małżeństw nic się zrobić nie da. Bo niby jak? Wrócić do gomułkowskiego bykowego, czyli podatku od singlostwa i niemania dzieci?

Pozostają jednak inne wymieniane przez demografów przyczyny nierozmnażania się, które od lat kuszą miłujących maleństwa polityków. Choćby chęć wydłużenia okresu nauki lub zrealizowania się na początku jako pracownik, a dopiero potem jako matka. No i późniejszy wiek urodzenia dziecka. Są też takie powody jak chęć bycia niezależnym i korzystania z życia jak najdłużej, poprawa poziomu świadczeń medycznych. A nawet moda na bycie singlem oraz aborcja i antykoncepcja.

Lata temu przystopowanie chęci bycia pierwej pracownikiem niż rodzicem wydawało się proste. Wystarczyło nic nie robić. Bezrobocie wśród młodych ludzi skutecznie uniemożliwiało im mrzonki o karierze zawodowej. I z nudów winno zmusić do seksu. Z niego zaś, przy braku pieniędzy na obłożoną VAT antykoncepcję, mieli począć się mali Polacy.

Był jeszcze problem z późnym wiekiem zachodzenia w ciążę spowodowanym faktem, że wszyscy studiowali długo i szczęśliwie. Próby zmiany tego spaliły na panewce. Nic nie dało to, że miejsc na bezpłatnych studiach było niewiele, a za pozostałe trzeba było płacić. Nic tu nie zmienił nawet zakaz studiowania bezpłatnie dwóch kierunków.

Statystyki wskazywały, że zmniejszenie liczby studiujących ma sens demograficzny. Kobiety z wyższym wykształceniem kilkanaście lat temu rodziły mniej dzieci. Przeciętnie 1,6–1,7. Znacznie efektywniejsze w rozmnażaniu były samice Polaków z wykształceniem zasadniczym – 2,2. Na głowę biły je jednak panie z dyplomem podstawówki – 2,7. Odwrócenie wyścigu do wykształcenia wydawało się zatem krokiem w dobrym kierunku.

Nic z tego nie wyszło nawet przy rządach PiS. Bezrobocie poleciało na pysk, więc kobiety miały gdzie gonić za karierą. Skoro miały pracę, to zarabiały, więc stać je było i na antykoncepcję, i na ewentualne kilkaset złotych za pigułki oczyszczające macicę z zarodka.

Pęd do studiowania kobietom też nie przeszedł i dziś większość z nich jest co najmniej licencjatkami. Od paru lat kobiety po studiach rodzą więcej od tych bez studiów, a dzietność jak leciała w przepaść, tak leci jeszcze szybciej.

Przed laty kombinowano, że osobne pomieszkiwanie singla płci dowolnej umożliwia mu realizowanie seksu nie dla demografii, ale dla przyjemności. Nie istniała bowiem obawa, że do pokoju ktoś wejdzie, w związku z czym facet w stresie zrzuci ładunek genetyczny w łono przyszłej Matki-Polki. Poza tym posiadacze własnych lokali nie mieli za ścianą babci, która mogłaby się zająć wnusiem, kiedy będzie taka potrzeba. Za czasów pierwszych rządów Tuska uznano więc, że oddzielne mieszkanie wręcz szkodzi rozmnażaniu narodu i dlatego zdobycie go powinno się wiązać z gigantycznymi korowodami, które zapisano w utrudniającym zdobycie własnego lokum programie „Mieszkanie dla Młodych".

Zupełnie odwrotne stanowisko przyjął PiS, uznawszy, że jak się ma chałupę, to będzie się miało dzieci. To stąd program „Mieszkanie Plus", a gdy i to nie wyszło – głupota o nazwie kredyt 2 proc., który zamiast naród w dzieci ubogacił banki i deweloperów w miliardy złotych.

Jeszcze niedawno różne mądre głowy opowiadały, że jak tylko będą żłobki i przedszkola, to kobiety rzucą się do rozmnażania.

Dziś żłobki mają ok. 160 tys. miejsc, w porywach do 200 tys. Poza tym pojawiły się takie formy wsparcia jak „babciowe" i „żłobkowe". Przedszkola de facto zapewniają dziś miejsca dla wszystkich chętnych, a niektóre, szczególnie wielkomiejskie, z braku dzieci zaczynają wręcz świecić pustkami.

Po co płynąć pod prąd?

Za pierwszych rządów Tuska jego ludzie doszli do wniosku, że zmniejszeniu płodności zaradzi poprawa stanu służby zdrowia i dostępność świadczeń medycznych. Nie wyszło, ale ruszono choć z dofinansowywaniem in vitro i była to jedyna udana prokreacyjna operacja polityków w ostatnich dziesięcioleciach.

W walce o rozrodczość Polek i Polaków wszystko brało w łeb. Tak jak i 500 plus, które tylko w jednym 2017 r. spowodowało narodziny 370 tys. dzieci. Dla demografów nie było to dziwne, bo wiedzieli, że kiedyś kobiety z wyżu początku lat 80. muszą w końcu urodzić. A że przez przypadek zrobiły to, gdy państwo dawało na dzieci po kilka stów?

Od kiedy zakazujący aborcji wyrok trybunału Przyłębskiej wygonił na ulice tysiące kobiet, a w szpitalach jęły umierać panie, którym lekarze bali się usuwać zagrażającą życiu matki martwą ciążę, pojawiła się koncepcja, że jak panie nie będą się bać być w ciąży, to w nią zaczną zachodzić.

Pozmieniano procedury, zabroniono policji i prokuraturze wciskać się między ciężarną a ginekologa. Kobiety jak umierały, tak umierają – bo wynika to po prostu ze statystyki. Nic się natomiast nie zmieniło w kwestii zachodzenia w ciążę.

ONZ w 1958 r. prognozowała, że w 2000 r. globalna populacja wyniesie 6,28 mld osób – osiągnęła 6,06 mld. Teraz ONZ przewiduje, że ludzkość osiągnie maksimum – 8,5 mld w 2050 r. i od tego momentu będzie się zmniejszać. Pod koniec stulecia wrócimy do obecnych 7 mld. Zdaniem ekspertów Deutsche Banku w 2055 r. – będzie nas 8,7 mld i do końca stulecia spadniemy do 8 mld. Ale wszystko może się stać jeszcze szybciej. Prognozy ONZ nie przewidziały m.in. olbrzymiego spadku dzietności w Bangladeszu i Iranie po 1980 r. – spadł on z 6 do 2 mld.

Wiadomo, że w ciągu następnych 35 lat populacja Japonii spadnie o 25 proc. Podobne szacunki podaje się dla Korei Południowej i Singapuru. Europejscy championi wzrostów urodzeń, czyli Francja i Czechy, okazali się efemerydami, gdzie wszystko wróciło do niegdysiejszych niskich poziomów dzietności.

W opinii większości ekspertów siłą hamującą wzrost ludności będą kobiety z krajów rozwijających się przenoszące ze wsi i miejskich slumsów do lepszych warunków życia, w których posiadanie dużej rodziny nie ma sensu. Rozmnażanie zawsze spada, gdy pojawia się wzrost poziomu życia

– to dlatego nigdzie na świecie współczynniki dzietności nie rosną.

Bo dzieci nie przynosi bocian. Nie są też wytworem państwa dobrobytu. Dzieci biorą się z biedy, braku wizji przyszłości i nieszczególnie wysokiego wykształcenia. A z tym na świecie z roku na rok jest coraz gorzej.

TADEUSZ JASIŃSKI

REKLAMA

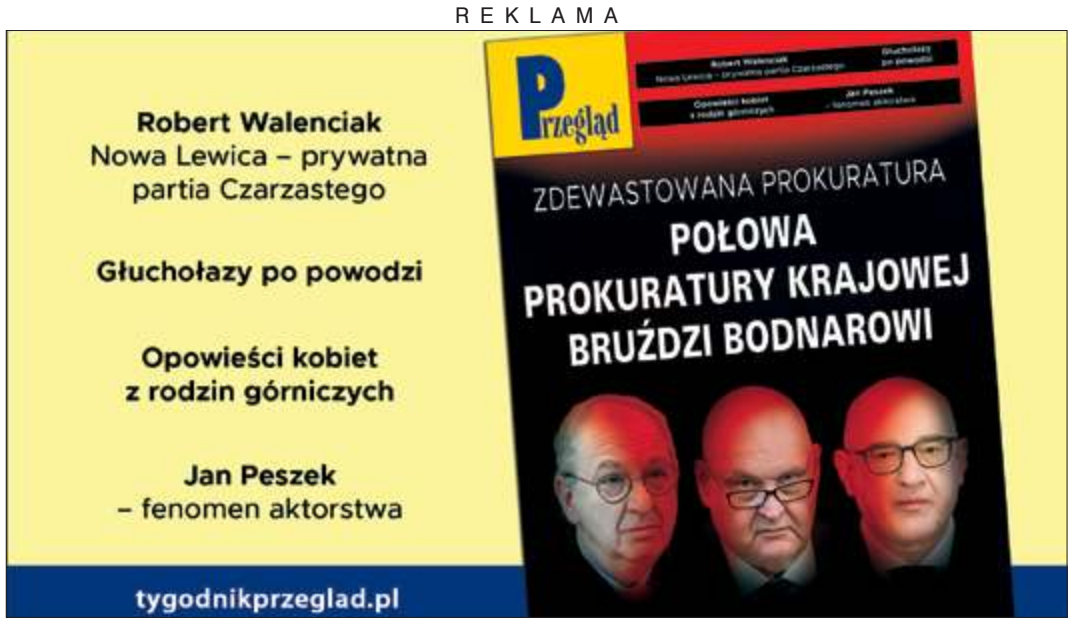

eprasa.pl 9557e356c8

Urodzeni mistrzowie

Czy istnieje coś takiego jak gen sportowca? Wygląda na to, że tak.

Gdybym chciał pójść na łatwiznę, po prostu wymieniłbym sportowe rodziny, a jest ich tyle, że spis zająłby całe miejsce, jakie Redakcja przeznacza dla mnie w każdym numerze. Zainkasowałbym wierszówkę niewielkim wysiłkiem. Faktem jest, że zawód gwiazdy stadionów przechodzi z rodziców na dzieci częściej niż w innych profesjach. A są jeszcze wujkowie, ciocie, siostrzeńcy… Naprawdę długo można wyliczać.

Bliźniacze orły

Geny w dużym stopniu determinują, jacy jesteśmy. W genach – przepraszam za uproszczenie – zaprogramowana jest nasza fizyczność. Nic dziwnego, że sportsmenki rodzą sportowców, a sportowcy płodzą sportsmenki. Same geny jednak nie wystarczą. Na to, jacy jesteśmy, wpływ ma także środowisko. W rodzinie, w której podstawowym tematem rozmów są wyniki uzyskiwane podczas zawodów i która wiele czasu spędza w obiektach służących poprawianiu tych wyników, geny oraz środowisko harmonijnie współdziałają.

Bliźniacy – znów trochę upraszczam, ale nie zamierzam pisać tu rozprawki z dziedziny biologii – mają identyczny zestaw genów; często trudno ich nawet rozróżnić fizycznie. Może Czytelnicy pamiętają szeroko omawianą w polskich mediach sprawę wypadku samochodowego ze skutkiem śmiertelnym. Na kierownicy samochodu sprawcy zostały ślady krwi, ale kto prowadził pojazd, trudno było stwierdzić, bo na miejscu pasażera siedział brat bliźniak kierowcy. Żaden z nich się nie przyznał. Policja musiała sobie poradzić bez dowodu z DNA.

Dobrze, zostawiamy policjantom ich problemy, płynnie przechodzimy do sportu i sportowców. Najbardziej znanymi w Polsce piłkarzami-bliźniakami są Michał i Marcin Żewłakowowie. Obaj zakończyli już kariery, obaj mają się dobrze.

Na boisku lepszy był Michał, który 102 razy grał z orzełkiem na koszulce, dzięki czemu wpisał się do ekskluzywnego klubu „100”, czyli piłkarzy, którzy ponad 100 razy reprezentowali Polskę. Nie ma nawet dziesięciu takich orłów. W Polsce Michał najbardziej znany jest z występów w Polonii Warszawa i w Legii Warszawa, jako piłkarz zwiedził jednak kawał Europy, ze szczególnym uwzględnieniem klubów Beneluksu.

Po zakończeniu kariery został działaczem, najpierw w Legii, później Zagłębiu Lubin oraz Motorze Lublin. Słyszymy go czasem jako komentatora telewizyjnego, a w tej roli ma zarówno wiernych fanów, jak i twardych przeciwników.

Marcin, bliźniak Michała, ma skromniejszą karierę w reprezentacji Polski – zagrał w niej 25 razy – ale należy do niego niepobity dotychczas rekord. Podczas mistrzostw świata w 2002 r. wszedł na boisko z ławki rezerwowych w meczu przeciw USA i zdobył gola po 64 sekundach. To najszybszy gol zdobyty przez zmiennika w reprezentacji Polski.

Aha, żebym nie zapomniał. Syn Michała Żewłakowa, Jakub, też jest piłkarzem. Trenuje w stołecznej Legii na pozycji pomocnika i niedawno trafił do pierwszego zespołu. Geny piłkarskie szerzą się dalej…

Bliźniacy Piotr i Paweł Brożkowie także nie są anonimowymi postaciami w polskiej piłce. Ich nazwisko najczęściej łączymy z Wisłą Kraków, choć objeździli z futbolówką również kawał Europy. Obaj mają za sobą występy w reprezentacji Polski, choć nie były tak spektakularne jak bliźniaków z Warszawy. Dlatego nazwisko Brożków wiążemy głównie z osiągnięciami ligowymi.

Do grania i do trenowania

Najbardziej znanymi piłkarskimi bliźniakami są Holendrzy Frank i Ronald de Boer. Urodzeni w 1970 r. bracia przez lata rządzili defensywą Ajaksu Amsterdam, z którym zdobyli pięć mistrzostw kraju. Warto dodać, że były to tłuste lata holenderskiego futbolu, czego dowodem wygranie przez Ajax Ligi Mistrzów z braćmi de Boer w składzie.

Po latach w rodzimej lidze bliźniacy de Boer przenieśli się do FC Barcelona, gdzie wiodło się im nadal bardzo dobrze. Obaj zdobyli z tym klubem mistrzostwo Hiszpanii.

Po zakończeniu kariery sportowej bracia, ale już osobno, zajęli się trenerką. Początkowo głośne sukcesy odnosił Frank, który poprowadził swój macierzysty Ajax Amsterdam do czterech z rzędu mistrzostw kraju. Gdy w sezonie 2016 trenowany przez niego klub stracił tytuł w ostatniej ligowej kolejce – podziękowano mu za pracę.

Frank de Boer przeniósł się do Interu Mediolan, tam jednak zwolniono go po 14 meczach. Jeszcze gorzej było w Anglii. Z Crystal Palace pożegnał się po zaledwie pięciu meczach. To był rekord Anglii. Później sił próbował za oceanem, z młodzieżą Ajaksu i wreszcie dostał to, co jest marzeniem każdego szkoleniowca. Zaproponowano mu prowadzenie reprezentacji kraju.

Po sezonie Ligi Narodów dywizji A, w którym Holandia nie zakwalifikowała się do finału, Frank de Boer sam zrezygnował z posady i przeniósł się do dobrze płatnej pracy w Katarze, ale i tam nie utrzymał się długo.

Jego brat Ronald nie miał tak wygórowanych ambicji trenerskich, zajął się pracą z młodzieżą macierzystego Ajaksu. Obaj wymieniani są jako najwybitniejsze postaci holenderskiego futbolu, choć tytuł piłkarza roku zdobył – i to dwukrotnie – tylko Ronald.

Przez dłuższy czas myślałem, że bliźniakami są Simone i Filippo Inzaghi. Błąd, zmyliło mnie niesamowite podobieństwo braci. Geny nie były identyczne. O ile kariera piłkarska napastnika Filippa była błyskotliwa, o tyle Simone jako zawodnik nie osiągnął wyżyn, dał się natomiast, w odróżnieniu od brata, poznać jako skuteczny trener.

Uwielbiałem patrzeć na Filippa „Beppe” Inzaghiego na boisku. Nie wiadomo skąd wyrastał na polu karnym i kierował piłkę do bramki. Był najważniejszym piłkarzem Juventusu i – co bardzo ważne – A.C. Milan. Dla Juventusu wystąpił w 120 meczach (57 strzelonych goli), a dla A.C. Milan zagrał 202 razy (73). W 2007 r. został bohaterem finału Ligi Mistrzów: dzięki jego bramkom Milan pokonał Liverpool 2:1. Po zakończeniu kariery zajął się trenowaniem, ale z mizernym skutkiem.

Zaczął od „swojego” Milanu, a później były coraz słabsze kluby. Natomiast jego o trzy lata starszy brat jako piłkarz nie zachwycał, ani razu nie wystąpił w pierwszej reprezentacji kraju. Obecnie prowadzi największego rywala A.C. Milan, czyli Inter Mediolan, i to z takimi sukcesami, że brat może tylko patrzeć z zazdrością. Ze swoim zespołem jest aktualnym mistrzem Włoch, dwukrotnie zdobywał Puchar Włoch, a trzykrotnie Superpuchar kraju.

Swoich bliźniaków miała i Bundesliga (Lars i Sven Benderowie). Hamit Altıntop oraz jego brat Halil urodzili się w Gelsenkirchen, grali w Niemczech, ostatecznie jednak postanowili występować dla reprezentacji Turcji.

Geny Igi

Sport – jak wiadomo – nie kończy się na futbolu. Jestem wielkim fanem kolarstwa szosowego i nic dziwnego, skoro jako dziennikarz sportowy specjalizowałem się w tej dziedzinie. Teraz już nie podążam za peletonami, ale lubię popatrzeć w telewizji na ważne wyścigi. Przez jakiś czas denerwowało mnie, że nie potrafię na ekranie rozróżnić brytyjskich braci Adama i Simona Yatesów. Bliźniacy podobni jak dwie krople wody, identycznie siedzieli na rowerze, w dodatku startowali w jednakowych koszulkach grupy zawodowej. Sytuacja zmieniła się, gdy przenieśli się do innych stajni. Dziś Adam jeździ dla UAE Team Emirates, a Simon dla Team Visma. Rozróżnicie ich z kilkuset metrów, oczywiście po koszulkach.

Hokejowi bliźniacy Henrik i Daniel Sedinowie są legendą drużyny Vancouver Canucks. Trudno żeby było inaczej, skoro urodzeni w szwedzkim Örnsköldsvik zawodnicy grali razem w jednym klubie przez prawie dwie dekady. Słynnymi hokejowymi braćmi w najlepszej lidze świata – choć już nie bliźniakami – byli Wayne i Brent Gretzky.

Zostawmy już bliźniaków. Dzieci dziedziczą po połowie genów od swoich rodziców. Przeżywamy zwycięstwa i martwimy się porażkami naszej tenisistki Igi Świątek (Jelena Ostapenko w Dosze!). To jedna z najpopularniejszych sportsmenek świata, a co dopiero mówić o Polsce. Nawet przedszkolak obudzony podczas obowiązkowego leżakowania wyrecytuje wam prędko jej życiorys. Nie zapomni oczywiście o tym, że ojciec Świątek był olimpijczykiem, co prawda nie tenisistą, ale wioślarzem. Do wiosłowania i do tenisa potrzeba wrodzonej siły. Zobaczcie, z jaką energią Iga Świątek wali w piłkę rakietą. Musiała się z tym urodzić.

W boksie bracia starają się tak prowadzić swoje kariery, żeby nie tłuc się ze sobą. Paweł Skrzecz, srebrny medalista w wadze półciężkiej igrzysk w Moskwie w 1980 r., nigdy nie walczył z nieżyjącym już bratem bliźniakiem Grzegorzem. Grzegorz celowo przeszedł do wagi ciężkiej, gdzie oczywiście miał mniejsze szanse niż w naturalnej, niższej kategorii.

Ukraińscy pięściarze Witalij i Wołodymyr Kłyczkowie (u nas ich ukraińskie nazwisko wymawiane jest często jako „Kliczko”), to w swoim czasie zawodowi pięściarze wagi ciężkiej. Gdy zaczynali trenować, musieli przyrzec mamie, że nigdy nie staną w ringu przeciw sobie. Mnogość zawodowych bokserskich organizacji ułatwiała dotrzymanie obietnicy, ale Witalij nie odniósł takich sukcesów jak brat. Za to zrobił karierę w polityce. Jest merem Kijowa i kieruje jego obroną przeciw rosyjskiej agresji.

Brat Witalija, Wołodymyr, mistrz olimpijski z Atlanty (1996 r.) przez wielu uznawany jest za najlepszego pięściarza wagi ciężkiej wszech czasów, choć oczywiście z tym dyskutować się nie da, bo porównywać można tylko tych zawodników, którzy stają przeciw sobie w ringu.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nadzieja w nogach

Z naszą lekkoatletyką jest słabo. Gwiazdy mają już swoje lata. Nic dziwnego, że z Paryża polska lekkoatletyka przywiozła zaledwie jeden medal, brązowy, wywalczony przez Natalię Kaczmarek (dziś Bukowiecką) w biegu na 400 m.

Na szczęście na horyzoncie pojawiły się młodziutkie biegaczki, które z roku na rok poprawiają rekordy życiowe. Jedną z nich jest 16-letnia Zofia Tomczyk. W niej to dopiero jest mieszanka genów. Jej mama Sylwia, znana pod nazwiskiem Wielec, była dobrą lekkoatletką, ciocia Żaneta – siostra ojca Zosi – w mistrzostwach świata juniorów w Moskwie wywalczyła złoty medal w sztafecie 4 x 100 m. Druga siostra ojca, Iwona, biegała na 400 m, a jej mąż to Dawid Kupczyk, były lekkoatleta i bobsleista, pięciokrotny olimpijczyk. Są więc geny i jest środowisko.

O rok starsza od Zofii Anastazja Kuś pojechała już na igrzyska olimpijskie do Paryża, oczywiście nie po medale – był to rodzaj inwestycji w obiecującą biegaczkę. Anastazja jako dziecko przez pięć lat mieszkała z rodziną w Turcji. Jej ojciec Marcin Kuś był zawodowym piłkarzem, a taki już los rodzin piłkarzy, że muszą przenosić się z kraju do kraju. Brat Anastazji oczywiście trenuje futbol, ona sama najpierw chciała zostać tenisistką, później jednak zdecydowała się na lekkoatletykę. W 2023 r. zdobyła złoty medal podczas Olimpijskiego Festiwalu Młodzieży Europy w Mariborze. Rodzice Zosi i jej brata podkreślają, że nie namawiali dzieci do treningów. Ale co mieli zrobić? Geny doszły do głosu.

Minister sportu i turystyki Sławomir Nitras zgłasza wciąż nowe pomysły, jak poprawić wyniki naszego sportu wyczynowego. A może zamiast ogłaszać kolejne programy należy rozpocząć poszukiwania genu sportowca?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 19.02.2025 r.

eprasa.pl 9557e356c8

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Kiedyś: Monachium – miasto w Bawarii. Monachium – miejsce, w którym w roku 1938 premier Wielkiej Brytanii Chamberlain sprzedał Czechosłowację kanclerzowi Niemiec Hitlerowi. „Monachium" – amerykański film Stevena Spielberga z 2005 r. o zabijaniu palestyńskich terrorystów z Czarnego Września przez izraelskich komandosów z Serejet Matkal, elitarnego oddziału Mosadu.

Teraz: Monachium – miasto w Bawarii, w którym wiceprezydent USA J.D. Vance obraził Europę i Europejczyków, bo uznał, że sprzeniewierzenie się wartościom moralnym jest większym zagrożeniem niż Rosja i Chiny.

Kiedyś: Jałta – miasto na należącym do Ukrainy Półwyspie Krymskim. Jałta – miejsce, w którym w roku 1945 premier Wielkiej Brytanii Churchill i prezydent USA Roosevelt sprzedali Polskę przyszłemu rosyjskiemu generalissimusowi Stalinowi. „Jałta" – francuski film Yves'a-Andrégo Huberta z 1984 r., nie wiem o czym, bo nie oglądałem.

Teraz: Jałta – miasto na Ukrainie, które przez kapitulanctwo prezydenta USA Donalda Trumpa pozostanie na wieki pod okupacją Rosji.

Kiedyś: Kompleks wojskowo-przemysłowy – szkodliwy związek producentów uzbrojenia z politykami. Kompleks wojskowo-przemysłowy – pojęcie z pożegnalnego przemówienia prezydenta USA Eisenhowera z 1961 r.: Eisenhower przestrzegał przed opłakanymi dla obywateli skutkami tego związku. „Paragraf 22" – amerykański pacyfistyczny film Mike'a Nicholsa z 1970 r.; scenariusz na podstawie powieści Josepha Hellera.

Teraz: Kompleks wojskowo-przemysłowy – związek (amerykańskich) producentów uzbrojenia z (polskimi) politykami. Umacnianie się kompleksu wojskowo-przemysłowego jest historyczną koniecznością umożliwiającą skuteczną obronę przed Rosją.

Kiedyś: Militaryzm – anachroniczny system polityczny, który zakłada, że siła państwa polega na licznej armii oraz wielkiej ilości uzbrojenia. „Na Zachodzie bez zmian" – antymilitarystyczny amerykańsko-niemiecki film Edwarda Bergera z 2022 r.; scenariusz na podstawie powieści Ericha Marii Remarque'a.

Teraz: Militaryzm – system polityczny, który jako jedyny daje Polsce nadzieję na skuteczną obronę przed Rosją.

Kiedyś: 5 procent – taką minimalną moc powinno mieć porządne piwo. Nie ma filmu „5 procent". Jest „50 procent szarości" – irlandzki film Ruairíego Robinsona z 2001 r.; nie wiem o czym.

Teraz: 5 procent – prawie tyle w 2025 r. Polska wyda na zbrojenia.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA postanowiła zaczerpnąć z krynicy profesorskiej mądrości **JOANNY SENYSZYN.**

Wołk-Łaniewska: – Czy możesz mi, droga profesoresso, wytłumaczyć…

Senyszyn: – Zaraz, zaraz: droga co?

– Profesoresso. Postanowiłam rozszerzyć swój katalog feminatywowego słowotwórstwa.

– I słusznie. Brzmi dużo ładniej niż profesorzyca.

– No więc, profesoresso, czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego kiedy państwo zadłuża się, żeby budować szkoły albo leczyć chore dzieci, to to jest niebezpieczne dla gospodarki, a jak po to, żeby kupować amerykańską broń, to już nie?

– Nie mogę.

– Ty nie możesz?

– Tego nie może ani zrozumieć, ani tym bardziej wytłumaczyć nikt przy zdrowych zmysłach.

– Ale tak mówił w Brukseli minister finansów, z zawodu makler. Nawet go zapytał jakiś bezczelny dziennikarz, czy wyłączenie spod procedury nadmiernego deficytu wszystkich wydatków na wojsko nie zmniejszy wiarygodności tego instrumentu…

– A on odpowiedział, że nie, i oczywiście nie uzasadnił dlaczego. Bo to niegłupi facet i dobrze wie, że to będzie zakamuflowana forma kreatywnej księgowości.

– Jeśli na wojsko wydajemy 4,7 proc. PKB, a procedurę uruchamia się przy poziomie deficytu 3 proc. PKB, to oznacza – popraw mnie, jeśli się mylę – że wprowadzenie programu naprawczego byłoby proste jak podanie ręki. Wystarczy ściąć wydatki na armię do 1,7 proc. PKB...

– W ramach NATO jesteśmy zobowiązani do wydawania 2 proc. na obronność, a jako państwo graniczące z toczącą się wojną powinniśmy wydawać więcej.

– Znaczy ile?

– Uważam, że 3,5 proc. byłoby odpowiednie. Nie musimy występować przed unijny szereg, bo sami i tak się nie obronimy. 4,7 proc. to skandal w kraju, w którym – bez wojny – 2,5 mln obywateli żyje poniżej minimum egzystencji, a ponad 17 mln poniżej minimum socjalnego. Ponadto w 2025 r. dochody państwa wyniosą 632,6 mld zł, wydatki nie przekroczą 921,6 mld zł. Czyli deficyt budżetu sięgnie 289 mld zł – 7,3 proc. PKB.

– Bez wydatków na wojsko byłoby tylko 2,6 proc.

– Nawiasem mówiąc, obawiam się, że Tusk wywalczył to ustępstwo tylko na 2026 r., bo to rok wyborczy i zaciskanie pasa społeczeństwu pogrzebałoby szanse Trzaska. Może się zresztą okazać, że guzik mu to pomoże, bo Mentzen idzie w górę, Hołownia spada, więc w drugiej turze PO nie będzie miała skąd dobierać elektoratu. A Nawrocki – będzie.

– Swoją drogą bawią mnie do łez sondaże, z których wynika, że za tym finansowym szaleństwem militarnym jest prawie 73 proc. obywateli, a przeciw tylko nieco ponad 18. I potem wicepremier i minister obrony ze łzami w oczach ogłasza w telewizji, że chciałby *jeszcze raz naszym podatnikom i wszystkim Polakom podziękować* za to, że są za zbrojeniami, bo na Zachodzie to nie są…

– Ciekawe, jakie byłyby wyniki tego sondażu, gdyby zapytali: „Czy jesteś za wydaniem 187 mld zł na wojsko, czy wolisz 50 mld z tej kwoty przeznaczyć na podniesienie minimalnej emerytury do 2,5 tys. zł, bezpłatne leki dla emerytów i ponowne obniżenie VAT na żywność z obecnych 5 proc. do zera?".

– To jest jak z tymi sondażami, z których wynika, że kobiety wolą być „przy mężu" i siedzieć w domu niż iść do pracy. Tylko pytanie jest sformułowane mniej więcej w ten sposób: „czy wolisz tyrać codziennie od 8 do 16, czy wolałabyś, żeby ktoś na ciebie pracował?".

– Ja bym nie wolała, nawet z takim sformułowaniem. Czytałaś „Żony Konstancina"?

– Wolałabym leczenie kanałowe…

– I tak ci opowiem. Siedzą otóż te kobity przy mężu, dostają miesięcznie od 100 do 300 tys. zł na prowadzenie domu i dbanie o siebie, znoszą obelgi i bicie. Wszystko ma swoją cenę: oprawcy płacą za złamany nos, podbite oko, wybity ząb. Ale najbardziej opłacalne jest urodzenie potomka. Tyle że po porodzie trzeba szybko wracać do rozmiaru XS, żeby mąż nie musiał się wstydzić.

– Powiem ci coś: jakoś im nie współczuję. Serio, to pewnie fatalnie o mnie świadczy, ale jak dostaną te 300 kafli, to mogą je zapakować do torebki Birkin i spierdalać. I tak, wiem, że upraszczam, ale widzę kolosalną różnicę pomiędzy żoną przemocowca w mieszkaniu kwaterunkowym w Przasnyszu, z czwórką przychówku i bez żadnych własnych środków do życia – a żoną Konstancina, która daje się tłuc w zamian za stałą dostawę szpilek od Louboutina. Ja oczywiście uznaję jej prawo do dokonania takiego życiowego wyboru, ale empatii nie jestem w stanie z siebie wykrzesać.

– Może to już syndrom sztokholmski. Ale słuchaj dalej, spodoba ci się: *Każda ze stron tego układu zgadza się na konkretne wymagania z reguły niepodlegające negocjacjom. Mąż ma zapewniać nieustanny dopływ gotówki, a żona przede wszystkim nie denerwować męża i spełniać wszystkie jego życzenia. Masz trzymać linię, żeby mieścić się w XS? No to jedziesz cały dzień na sałacie z winegretem i katujesz się godzinami na siłowni z trenerem personalnym. Twój facet potrzebuje czasu dla kochanki? Pakujesz się i lecisz do domu za granicą razem z dzieciakami, rodzicami i przyjaciółkami. Na taki wyjazd wydajesz lekką ręką 300 tys., ale mąż zapłaci, w końcu wie za co.*

– Przecież jak już taka żona poleci do tego domu za granicą z 300 kaflami na karcie, to może wyjąć gotówkę i tam zostać. Zwłaszcza że takie domy dorobkiewiczów najczęściej są w Hiszpanii, która traktuje żonobijców bardzo surowo, łącznie ze specjalnymi sądami ds. przemocy wobec kobiet.

– À propos sądów i związków męsko-damskich: opowiem ci na koniec anegdotę, która mi się przypomniała w walentynki.

– Dawaj!

– W PRL dzieci z ostatnich klas podstawówki przychodziły na rozprawy, żeby zobaczyć, jak wygląda socjalistyczna praworządność. Mój Bolo, będąc prezesem powiatowego sądu, wybrał sprawę, zdawało się, bezpieczną – o kradzież choinki z lasu na Boże Narodzenie – i postanowił, że sam zrobi pokazówkę dla młodzieży. Kobita, która była świadkiem, zeznaje, że widziała oskarżonego, jak wycinał drzewko, oskarżony nie zaprzecza, ale mówi: *Wysoki sądzie, czy mogę o coś zapytać świadka?*. W momencie gdy Bolo wyrażał zgodę, zobaczył błysk w oku oskarżonego i poczuł, że coś się święci, ale było już za późno, bo padło pytanie: *A ty, Maryśka, pamiętasz, jak ja ciebie pod tą choinką rżnąłem?* A ona, że owszem, pamięta. *I jak ty mnie rzuciłaś, to taka mnie wzięła żałość, że postanowiłem ją wyciąć*. Dzieciaki rżą ze śmiechu, a Bolo ma dylemat: czy to jest okoliczność łagodząca.

– Moim zdaniem absolutnie tak…

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

eprasa.pl 9557e356c8